





Z. Milkowski.



PIOTR i ASAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z dziejów Słowian bałkańskich.

z XII-go wieku.



WARSZAWA.

Skład główny w „KSIĘGARNI POLSKIEJ”

WARECKA Nr. 14.

1906.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 23 Августа 1005 г.



165056

I.

W czasach, o których nikt już nie pamięta, o których zaledwie wzmianek w greckich kronikarzach doszukać się można, które od obecnych oddalonemi są o sześćset siedemdziesiąt pięć lat, w czasach owych, prześlizchniętymi okolicami, szło zwolna dwóch wędrowców. Szli i rozglądali się. Odzież ich była uboga, podróżne torby wisiały na biodrach, obuwie grubo pyłem się okryło, zużyte laski okazywały, że podróż ich nie dziś się zaczęła, a pomimo to piękność natury nie była dla nich obojętną. Często się zatrzymywali, a w oczach ich malowały się: zachwycenie i rozczulenie, i jakiś modlitwowy wyraz, jakby dziękowali Bogu, że takim pięknym stworzył świat.

O, bo też pięknemi były okolice, któremi przechodzili! Za każdym niemal postąpieniem kilkunastu albo kilkudziesięciu kroków nowy odkrywał się widok, dla którego poprzedni był niby zasłoną, podnoszącą się przez proste posuwanie wędrowców

naprzód. Podnosiły się one kolejno jedna po drugiej: odsłaniały się kolejno widoki jeden za drugim. Była to ciągle przesuwa-
jąca się panorama: gór najeżonych skała-
mi, poszramowanych wąwozami i rozpadło-
ściami, uwieńczonych lasami, i rozkosz-
nych dolin, wyścielonych kobiercami kwie-
cistych łąk, po których jak węże, srebrzystą
połyskujące łuską, wiły się potoki, stru-
mienię i nawet spore rzeczutki. Tu górska
ściana wyrastała raptem, popielata, spa-
lona niby od ognia, który gorzał niegdyś
pod nią i lizał ją płomieniem, naga, olbrzymia.
Tam wyskakiwała olbrzymia piramida
w zielonym u spodu wianku, w siwołyskli-
wym na wierzchu kolpaku, udającym zda-
leka szyszak, na którym chmury wyglądały
jak potężny pióropusz. Ówdzie połamany
grzbiet rozchyłał się i za nim wymykało
się oko, to na zwaliska skał, to na obrazy
grodów to na szerkie równiny to na mgli-
sto-siną dal, ustrojoną kształtami obłoczys-
tych cieniów. Bez końca było tych obrazów
i widoków.

Okolica ta nazywała się: *Haemus*.
Dziś nazywamy ją: *Bałkanami*.

Bałkany były ojczyzną wędrowców.

— Ojczyzno moja!... — mówił jeden
z nich — jaka ty piękna!...

— Piękna ojczyzno moja!... — mówił drugi — Ty w niewolili!...

W tych dwóch wykrzyknicach wyraziły się dwa charaktery ludzkie. Pierwszy kochał piękno, drugi ojczyznę. Dla pierwszego piękność wystarczała; a że należała ona do jego ojczyzny, to tem lepiej, to tym bardziej kochał on ojczyznę dla niej. Drugi piękność uznawał, bo nie mógł nie uznać tego, co oczy widziały: lecz łączył ją w jedno z bolesnem jęknięciem serca: „ty w niewoli!...“ Można więc przypuszczać, że ten drugi kochałby ojczyznę, nawet gdyby nie była piękną: kochałby ją jak Niderlandczyk swoje wydarte morzu niziny, jak Pińczuk błota, Rusin stepy, Mazur piaski.

W wykrzyknicach tych — powiadam, wyraziły się charaktery tych dwóch ludzi, dlatego że wykrzykniki te były swobodnem wynurzeniem serca, obrazem — że tak rzeknę — uczucia.

A charakter opiera się na uczuciu.

A uczucie najlepiej poznaje się wobec idei: ojczyzna.

Bo niech kto jak najwięcej mieści w sercu miłości; niech kocha najpotężniej świat, bliźnich, siebie, swoje dzieci, swój honor, swoje dobre imię, wszystko; jeżeli

po nad to wszystko nie wznosi się ojczyzna, jeżeli on dla niej nie gotów tego „wszystkiego” poświęcić, to jego kochanie nie jest warte; to jego charakter nie jest charakterem, ale tylko instynktem.

Charakter więc występuje dopiero i próbuje się wobec ojczyzny.

— Jaka ty piękna!... — mówił pierwszy.

— Ty w niewoli!... — mówił drugi.

Pierwszemu na imię było Piotr, drugiemu Asan.

Piotr i Asan byli rodzonymi braćmi.

Według kronikarzy pochodzili oni ze starożytnego królów bułgarskich rodu. Według mnie — nie: a to dla tego, że wzmianki o pochodzeniu ich są tylko domysłami, żadnymi nie wsparte dowodami. Bazyli II, cesarz grecki (976—1025), zwany przez jednych Młodym, przez innych Bulgarochtonem (bulgarożercą), ze skwapliwością i zapobiegliwością godną lepszej sprawy, wytepił co do nogi ród Komitopulów, z którego czterej bracia, Dawid, Mojżesz, Aron i Samuel, panowali niegdyś nad Bułgarią. Których zaś nie wytepił, tych porobił magistrami i patrycjuszami, co na jedno wychodziło, jakby im głowy poodcinał, bo oni przestali być Słowianami: przyjęli rzymskie

urzędy, przywdzieli togi, i stali się Grekami. Wynarodowieni stracili nawet ów instykt, który każe dziecku biedz, gdy matka o ratunek zawoła. Po podbiciu przez Bulgarażercę (1019), Bułgarja dwukrotnie powstawała — w 1040 i 1074 — i żaden z Komitopulów nie wsparł osobą swoją usiłowań narodowych. Co gorzej — oni wespół z ogromną liczbą znakomitszych rodzin, posiadających w kraju imiona, wpływ i znaczenie, szkodzili zamiast pomagać, bo przykładem własnym dowodzili ogółowi: że należy uleść pod ciężarem okoliczności, że trzeba przyjąć greckie jarzmo i już myśleć tylko o ulżeniu go sobie, że niema ratunku. Nie: Piotr i Asan nie byli z rodu Komitopulów. Gdyby do niego bowiem należeli, to w tej chwili, nie na stromych ścieżkach Bałkanów, lecz w stolicy cesarstwa, przy boku Imperatora by bawili, i nie dzikim widokom natury, lecz igrzyskom w cyrku by się przypatrywali. Gdyby byli Komitopulami, to święty wyraz „ojczyzna” nie znalazby ich ust, a jeżeliby kiedy i przemknął się przez usta, to jak obcy dźwięk, obojętny wyraz.

Wędrowcy nasi przeszli szczyt góry. Przed nimi, u stóp, rozesała się obszerna zielona, uśmiechająca się do słońca pełnią

roślinnego życia, dolina. Wyglądała ona jak ogród, otoczony zamiast muru górami. Tu i ówdzie rosły na niej bukiety drzew, tu i ówdzie barwiły się kwietne łąk kobierce, tu i ówdzie czerniały grządki uprawnych ról, tu i ówdzie bieleły grupy chat wieśniaczych, a nieopodal od drogi złocistą kopułą połyskiwała cerkiew. Widok był taki, że warto było przypatrzeć się mu dłużej, nacieszyć się, nalubować nim. Wędrowcy więc usiedli obok drogi, zsunęli torby z ramion, złożyli laski i pograżyli się w rozmyślanie.

— Jak ją ratować!... — odezwał się Asan.

Piotr wzruszył ramionami, i rzekł po chwili milczenia:

— Czyż już w tobie nigdy myśl inna nie zagości!.. Nie potępiam jej... Lecz słuchaj, bracie: przykucie władz rozumu do jednej wyłącznej myśli wtrącić człowieka może w taki stan, że nateżony rozum pęknie, jak struny na cytrze, i zostawi po sobie obłąkanie... Dlaczegoż nie mamy interesować się wszystkim zarówno!... Kochajmy ojczyznę, bolemy nad jej położeniem i szukajmy środków ratunku.. Kochajmy ojczyznę, cieszymy się jej pięknością i używajmy życia... Mędrzec umie do

wszystkiego się zastosować... siebie nagnie do okoliczności i okoliczności do siebie.. Pamiętaj, że pomiędzy okolicznościami są takie, z którymi walka jest niepodobną... Widziałeś spadające z gór potoki, rozbijające się z szumem po skałach... Czy człowiek rozumny pomyśli o płynięciu od ujścia ku źródłom tych potoków?... A gdyby pomyślał, gdyby nateżył siły swoje na wykonanie takiej podróży, to musiałby w końcu uledz, stargawszy wszystkie siły...

Asan wzruszył ramionami, i po chwili milczenia odrzekł:

-- Nie rozumiemy się, bracie... Człowiek szaleje, gdy do szalonej przywiązuje się myśli... Przecież przywrócenie ojczyźnie naszej niepodległości nie jest szaleństwem... Ona była już niepodległą. Lecz powstanie tylekrotnie było już próbowane i tylekrotnie zawiodło... Któż się na nie po upływie tylu lat w niewoli, po przywyknięciu do jarzma, zechce jeszcze odważyć!... Mówiłeś, lud.. Oto chodzimy pomiędzy ludem, przykładamy ucha do jego serca, kładziemy ręce na jego pulsach... i cóż?... Oto przekonywamy się, że krew w nim wychłodziła, a w sercach tętni bojaźń.. Gdybyś go wezwał do powstania, to onby cię związał i odstawił greckiemu prefekto-

wi, jeżeli nie jako swego wroga, to jak szaleńca.

Asan westchnął głuchem jęknięciem. Nie mógł bratu zaprzeczyć.

— Patrz.. — ciągnął Piotr, — oto przed nami prześliczna dolina, otoczona stromemi górami, przez które do niej urwiste tylko prowadzą ścieżki. Widzisz tam wsie. Tam mieszka nasz lud. Góry odgrodziły go od wpływów greckich. Tam on musi być najlepszy, najbardziej bulgarski. Najpóźniej dostał się on do niewoli, bo prefekci nie prędko odszukać zdołali ustronną dolinę: najżywszą więc musi w nim być pamięć niepodległości, i najżywszą chęć powrotu do niej. Tam przekonamy się ostatecznie, czy można na lud liczyć. Ale po przekonaniu się powrócimy do Tyrnawy i spokojnie uznamy wyroki Opatrzności, i w spokoju sumienia używać będziemy tych darów, które ona na nas zlała...

Na te słowa zerwał się Asan. Oko jego zapalało.

— Nie!... o, nie!... — zawołał: — Na tem nie poprzestane!... Ty wróc do Tyrnawy; ja pójdę dalej. Pójdę, aż do gniazda tej władzy, co cięży nad naszą ojczyzną. Pójdę, przypatrzę się jej...

— Ja będę tobie towarzyszył... — odrzekł Piotr spokojnie.

— Wróć, bracie...—przerwał mu Asan proszącym tonem. Mnie przykro, że ty się włączysz ze mną. ty, przywykły do wygod i dostatków... Wróć. Doglądaj bogactw naszych. Niech one wzrastają w twojem ręku. Niech, kiedy ja moją część oddam całą na dźwignienie ojczyzny z upadku, twoja część będzie jeszcze dostateczną na czynienie dobrze...

— Twoja część, i moja, i Joanicy — odpowiedział Piotr — złączone razem, nie wystarczą na cel, na jaki samą tylko swoją przeznaczasz. Pomnożenie ich pod okiem mojem będzie niczem, drobnostką, kroplą w morzu. Byle się nie umniejszyły. A nie umniejszą się pod troskliwem Joanicy okiem. Niech on je dogląda. Ja ślubowałem sobie nie odstępować ciębie. Będę los twój dzielił do końca.

Asan chciał coś mówić, może dziękować bratu, lecz ten mu przerwał:

— Nie myśl, że robię dla ciębie wielkie poświęcenie. Nie taję ci, że cię kocham. Kochamy się wzajemnie. O tem wiedzą ludzie i powiadają, że Piotr, Asan i Joanica, to trzy ciała, ale jedna dusza. Byłbym więc niespokojny o ciębie, gdybym cię opu-

ścił. Ale włączając się z tobą, i ja korzystam. Uczę się; a ty wiesz, że lubię uczyć się...

Na to nie było co odpowiedzieć. Asan usiadł.

Z powyższej rozmowy wyciągnąć się da wyobrażenie o towarzyskiem położeniu wędrowców naszych. Byli oni bogatymi. Wyraz: „bogaty“ wiele mówi. Po wszystkie czasy i na każdym miejscu człowiek bogaty był i jest uprzywilejowanym członkiem społeczności ludzkiej. Bogactwo uwalnia go od pracy, od tego każdochwilowego schyłania się ciałem lub myślą z wyciągniętą ośchleb powszedni albo o okrasę życia dłońią; czyniącego pracownika niewolnikiem w najwolniejszej świata stronie. Bogacz jest wolnym pod najsroźszym despotyzmem. Dla bogacza wszelki rząd jest dobry; dla niego wszelka władza pochodzi od Boga. Wyzwolónemu od pracy, o używanie mu tylko, ale nie o wyzwolenie pracy chodzi. To wielka korzyść, której ubodzy nie znają, większa jak dobre urodzenie.

Z rozmowy powyższej pokazuje się także, że Piotr i Asan mieli trzeciego brata. Był nim Jan, zwany z grecka Kalojoan, albo Joanika, albo jeszcze Joanica, znany

w dziejach ze stosunków swoich ze stolicą apostolską.

Z rozmowy tej wywnioskować jeszcze można i cel wędrówki naszych braci. Jeden pozostał w domu; a dwaj poszli, i poszli dla poznania ludu. Dlatego to wzięli oni na siebie odzież ubogą, wieśniaczą. Chcieli snadź, aby przed nimi otwierały się z ufnością serca wieśniaków; więc nie mogli chcieć zrażać ich ostentacją podróżną, nie mogli otaczać się sługami, ani prowadzić za sobą juczne konie i woły, ani występować w miękkim pańskim odzieniu. Pod siermięgą uważałych lud za ludzi jednego z nim — że tak powiem — zakonu za takich, którzy go rozumieją i rozumianymi przezeń będą. Pod cienką tkaniną patrzyłby na nich z niedowierzaniem i w ich szczerych, serdecznych zapytaniach podejrzywałby z góry podstęp. I to bardzo naturalne; — pomiędzy takimi bowiem, którzy tylko używają a takimi, którzy tylko pracują, nigdy przyjść nie może do zupełnego wzajemnego porozumienia. Porozumienie to nastąpiłoby mogło w takim tylko razie, gdy by, albo używający mieli rozum i serce, albo też, gdyby można było takie dla społeczeństwa wymyślić urządzenie, aby wszyscy równymi się stali wobec zadania życia ludzkiego.

Celem więc wędrowców naszych było: poznanie ludu. Lecz w tym celu zawierał się jeszcze inny, odmienny dla każdego z nich. Piotr poznawał lud dla nauki; Asan — dla wyszukania w nim skarbu-siły; potrzebnego do wykupienia ojczyzny.

Zkąd się oni wzięli, tacy patryjotyczni, w spodlonym wiekową niewolą narodzie? Czy ich matka takim napoiła mlekiem, czy ich ojciec takimi nakarmił naukami? Ojciec ich był bardzo bogaty: o tem wiem, a przynajmniej mogę się tego domyślać. Ale: kto on był, kto była ich matka, jakie im rodzice wychowanie dali — o wszystkich tych szczegółach milczą kronikarze; więc i ja przemilczę.

II.

W Bałkanach pełno jest rozkosznych dolin. Nieraz, ujrawszy którą znienacka, zatrzymujesz się mimowolnie i zdumiewasz

się. Taki tam ład i symetria, jak w ogrodzie. Tak tam cień i światło, tajemniczość kasztanowych i orzechowych borów i otwartość łąk i pól uprawnych, łączą się w jedną harmonijną całość, nad którą stromią się skaliste, połamane boki gór. Doliny takie bywają bardzo obszerne. Niektóre mieszczą w sobie miasta i kilkanaście wsi.

Ta, do której wędrowcy nasi zmierzali nie była zbyt obszerna. Nie było na niej miast, tylko kilkanaście wsi przytulonych do podgórze. Kilka strumieni zlewało się na nią z gór i wlewało w jedno wspólne łóżyisko, które kryło się po za skałami stromego, nieprzystępnego wąwozu. Na strumieniach turkotały młyny; na łąkach pasły się trzody; podgórzami pięły się winnice; niżej ciągnęły się obszerne ogrody, pełne drzew owocowych i różanych krzewów, wydających kwiat, mający tyle wdzięku i woni, którym i dziś słygną bałkańskie okolice. Jakiś ciągły, łagodny, głaszczący mile ucho szmer i jakaś delikatna woń unosiły się nad tą doliną, wisiały nad nią w powietrzu. Patrząc na nią, zdawało się, że mieszkańcy jej skazanymi byli szczególną łaską opatrności, na wieczny, niczem nie zamącony spokój, na raj ziemski.

Wędrowcy nasi nie mogli na nią zejść tego samego dnia, którego ją ujrzeli. Wiąca się ślimakiem droga, a raczej ścieżka, wymagała całodziennego krążenia. W nocy zaś nie można było po niej iść, bo była stromą. Każdy krok, szczególnie na zawrotach, zagrażał upadkiem w przepaść i rozbiciem się w drobne kawałki o ostre skały. A pomimo stromości ścieżki, znalazła się inna jeszcze przeszkoda, która nie dozwoliła im przewlekać w noc podróży. Przeszkodą tą była warta grecka. Na zakręcie drogi dał się niespodzianie słyszeć okrzyk:

— Stój!... kto idzie?...

Przed oczami wędrowców naszych błysnęły halabardy pretorjańskie. Kilku żołnierzy zastąpiło im drogę.

— Co wy za jedni?... — zapytał najstarszy z pomiędzy nich.

— Wędrowni wieśniacy... — odpowiedział Piotr — zwiedzamy miejsca święte...

— Zkąd wy?...

— Z Tyrnawy.

— Macie pieczęć cesarską?

— Mamy.

To mówiąc, wydobył Piotr z zanadrza starannie w płótno obwinięty pergamin, ci podał go pytającemu żołnierzowi. Ten

nie rozwijał go, lecz wezwał za sobą wędrowców i poprowadził ich na strażnicę, którą, o ile w ciemności nocnej rozpoznać się dało, był zameczek, rodzaj dzisiejszego blokhauzu, obwiedziony ząbczastym ze strzelnicami murem. Wprowadził ich do mieszkania setnika i kazał zatrzymać się w obszernej przedsieni, oświetlonej zwisającą od sufitu lampą. W przedsieni było kilka sług i żołnierzy.

Naczekali się nasi podróżni, zanim zawołano ich do setnika. Weszli. Setnik leżał na niebogatem lecz miękkim wezgielciu. Izba jego ubrana była wojskowo. Na ścianach wisiały łuki, kołczany, krótkie i długie dzidy, krótkie i długie miecze, topory, buławy, hełmy, tarcze, pancerze i druciane tuniki. Przyjął podróżnych nie ruszając się z miejsca, a oddając im pergamin, przemówił dobrotliwie:

— Dobrze... Idźcie podróżni ludzie w pokoju: Niech Najwyższy czuwa nad waszemi krokami... Cezar pobożnych lubi. Cezar sam jest bardzo pobożnym...

Piotr się skłonił. Asan zgrzytnął zębami.

Żołnierze wyprowadzili ich ze strażnicy, i puścili wolno na drodze.

Było już ciemno. Piotr prosił żołnierzy o gościnność pod dachem, lecz oni mu wytłómaczyli, że przepisy nie pozwalają ludzi, nie należących do wojska lub do urzędu cesarskiego, przyjmować w obrębie murów zamkowych. Jeden z nich jednakże przeprowadził ich o paręset kroków niżej i ukazał rozłożysty jawor, pod którego liściastem sklepieniem konarów, na miękkim mchu, wygodna była dla podróżnych gospoda. Ten sam żołnierz oznajmił im, że nazajutrz załoga zamkowa znajdzie na dolinę, aby asystować w paradzie uroczystemu nabożeństwu, jakie odbyć się ma w cerkwi, z powodu dnia św. Dymitra.

— Jacy Grecy grzeczni!... — rzekł Piotr po oddaleniu się żołnierza.

— To źle... — odparł Asan — To znaczy, że mają już nas za nic, bo traktują najtańszą rzeczą...

Nie miał Piotr czasu zawiązywać z bratem dłuższej rozmowy, bo musiał zająć się przygotowaniem noclegu, przygotowaniem nie wybrednem, a jednakże zabierającym czas. Trzeba im było wyszukać suchych gałęzi, wykrzesać do próchna ognia, rozniecić i rozpalić ognisko, a następnie, znieść grubszego drzewa dla utrzymania ognia do rana. To ostatnie było bardzo

potrzebnem, dlatego że pora jesienna, jakkolwiek w tych okolicach łagodna, sprawiała jednakże noce, w których zimno na wskrós przejmowało. Krzatali się więc bracia koło ogniska i naniečili je. Płomień strzelił do góry. Ciepło rozlało się dokoła. Wędrowcy usiedli, posilili się z torb podróżnych, pomodlili się w cichości panu Bogu, podłożyli torby pod głowy, zalegli z dwóch stron ognisko i smacznie zasnęli.

O świcie rozbudziło ich granie trąby, rozbijające się echem po górach. Była to starożytna pobudka wojskowa, która co rano odzywała się dla załogi zamkowej i klóciła z echem Bałkanów. Zerwali się bracia równemi nogami, i przetarli oczy. Doliny nie było widać. Osłonił ją poranny tuman. Ale za to zameczek świecił murami i jeżył się zębami, z za których połyskiwały grotty dzid i ostrza halabard przechadzających się zwolna strażników. Położenie tego obronnego gniazda było prawie nieprzystępne. Zagradało ono drogę i wisało nad doliną, panując tej ostatniej zarazem i jak czujne oko, i jak żelazna ręka.

Zamków tego rodzaju większych i mniejszych pełno było we wszystkich zie-

miach, podległych berłu cesarstwa wscho-
dniego. Cesarze zakładali je od najdaw-
niejszych czasów; lecz stale zaczęli je za-
prowadzać od czasów Justyniana I., który
pierwszy nauczył za ich pomocą w karbach
uległości trzymać podbite ludy. W nich
mieściły się załogi i urzędy. Były one
oczami, uszami i ramionami cesarskimi,
za pomocą których imperator z Konstan-
tynopola widział i słyszał wszystko, i mógł
wszędzie i po wszystko sięgnąć. Do tej
więc ich własności czyniąc zapewne przy-
tyk, odezwał się Piotr do Asana:

— Widzisz: i nad tą ustronną, cichą
doliną sęp zawisł z otwartemi szpona-
mi...

I westchnął.

Asan także westchnął, ale nie bratu
nie odrzekł.

Odezwały się dzwony cerkiewne, zwi-
astujące dzień. Wędrowcy zebrali się i po-
częli spuszczać na dolinę.

Zanim zeszli na podnóże góry, słońce
połniosło się na wschodzie i tuman poran-
ny zwiął się.

Na dolinie widzieć się dał ruch ludu.
Wychodzili wieśniacy z chat i ciągnęli do
cerkwi, zbudowanej z pewną wytwornością,
na wzór i podobieństwo konstantynopolskie-

go soborną ściej Zofji. Kopuła jej główna i poboczne kopułki połyskiwały złoceniem i krzyżami.

Piotr i Asan udali się wprost do cerkwi.

Nie będziemy opisywać nabożeństwa. Odbyło się ono z paradą odpowiednią uroczystości. Wiedzieć bowiem należy, że święci Dymitr i Jerzy, z których pierwszego rocznica przypada w jesieni, drugiego na wiosnę, szczególną cześć odbierali w cesarstwie wschodniem. Odbierają ją oni po dziś dzień od chrześcijan, którzy z pod władzy imperatorów przeszli pod panowanie tureckich padyszachów.

Załoga zamkowa, według zapowiedzenia żołnierza, asystowała nabożeństwu z setnikiem na czele. Ten ostatni wielką okazywał pobożność, większą niż cały obecny lud, kornie pochylający czoła przed Panem Panów i ze skruczą słuchający mszy świętej. Kilku kapłanów usługiwało przy ołtarzu. Jeden z nich, poważny i piękny starzec, z siwą brodą, z wyrazem dobroci i rozumu na obliczu, miał kazanie, do którego tekst wziął z tych słów: „Oddajcie co boskiego Bogu, co cesarskiego cesarzowi.“ I wymownie a przekonywająco dowodził: jako należy pełnić obrządki reli-

gijne, jako potrzeba pełnić przykazy cesarskie.

— Bo pomnijcie — grzmiał z ambo-ny — prawowierni chrześcijanie! „że wszelka władza od Boga pochodzi.“ Sprzeciwiać się więc władzy, jest to sprzeciwiać się Bogu samemu, który miłosiernym jest dla posłusznych i pokornego serca, lecz groźnym dla nieposłusznych i zuchwałych. Cezar jest jego pomazańcem. Co każe, czego zażąda, tego żąda sam Bóg. A zważając na boskie jego władzy pochodzenie, nie może on nie kazać i niczego żądać, coby nie zgadzało się ze szczęściem ludów na ziemi i ich wiecznem zbawieniem w niebie. To więc wszystko, co wam, prawowierni chrześcijanie, wydaje się niesprawiedliwem albo uciążliwem, nie jest ani niesprawiedliwem ani uciążliwem. To wszystko płynie z Boga: jest więc do waszego szczęścia, do zbawienia dusz waszych potrzebnem. Stwórca dał wam życie, obdarzył was większym lub mniejszym dostatkiem i postawił nad wami pomazańca swego. Jeżeli więc ten pomazaniec boski zażąda od was życia, ku swojej lub granic państwa obronie, dajcie mu je: bo bądźcie przekonani, że czynicie ofiarę Bogu, bronicie samego Boga, bronicie odwiecz-

nych i niezmiernych granic Jego panowania, w które się wróg dusz waszych wciska. A jeżeli ten pomazaniec boży zażąda od was części waszych dóbr, dajcie mu je z ochotą, z radością w sercu, dajcie więcej jak żąda, bo przez jego usta stwórca wasz przemawia, stwórca, znający głębię waszych myśli, i patrzący wam w serca...

Lud z pokorą słuchał kazania. Każdy wyraz mowy tyle miał mocy przekonania, tak opierał się na tekstach pisma i odwoływał do bożych przykazań, że żadnemu nie można było zaprzeczyć.

Po nabożeństwie lud wylał się z cerkwi. Piotr i Asan wmieszali się w tłum, i słyszeli rozprawiających wieśniaków. Jeden opowiadał:

— Dzięki niech będą ojcu Cyryłowi...
Ulżył mi na sercu...

Drugi mówił:

— Z ochotą sprzedam teraz bydło, kiedy wiem, że to Bogu samemu na ofiarę...

Trzeci odezwał się:

— Ciężkoż - bo, ciężko z temi coraz nowemi i coraz większemi daniami, ale trzeba je dać pomazańcowi bożemu...

— Ale kiedyż temu będzie koniec!...—
zawołał inny — Czyż i Bóg stracił litość
nad biednemi, ciężko pracującemi ludźmi!..

— Cicho!...— rozległo się poszeptem
dokoła, i poczęli wieśniacy oglądać się na
wszystkie strony, a ujrzawszy naszych po-
dróżnych, których twarze były im obcemi,
spoglądali na nich z ukosa, z niedowierza-
niem i bojaźnią, i oddalili się od nich.

Piotr trącił brata łokciem, i zapyta
go półgłosem:

— Widziałeś i słyszałeś?...

Asan pokiwał smutnie głową, i od-
rzekł przez zaciśnione zęby:

— Błóżniercy!.. fałszerze praw bo-
skich!... na świętym ołtarzu sadzą drzewo
kłamstwa!...

A pomimo, że wymówił te wyrazy
cichym głosem, kilku ludzi zatrzymało się
i spojrzało na niego. Piotr strwożył się.

— Nie mów tak głośno...— rzekł bra-
tu do ucha — ktoś może podsłuchać i do-
nieść setnikowi, i on obejdzie się z nami
inaczej jak wczora...

W tej chwili przechodzili mimo nich
ojciec Cyryl i setnik. Zatrzymali się. Ten
ostatni poznał ich, pozdrowił uprzejmie
i rzekł do księdza:

— Oto pielgrzymi, zwiedzający miejsca święte...

Podróżni nasi musieli pocałować księdza w rękę, który pobłogosławił ich i zapytał:

— Dokądże Bóg prowadzi?...

— Do Carogrodu, ojcze, i do góry Atos...—odrzekł Piotr.

— Idźcie... Oby Najwyższy czuwał nad wami... Pokłońcie się świętemu Dymitrowi w Carogrodzie, pokłońcie się świętej Zofji i świętym męczennikom .. A umiecie po grecku? ..

— Ja umiem. .- odpowiedział Piotr— Ale towarzysz mój nie umie...

— To dobrze: bo gdybyście obydwaj nie umieli, to byłoby wam trudno... Modlić się po bułgarsku możecie, i nawet w samym Carogrodzie znajdziecie cerkwie, w których służba boża odprawia się w słowiańskim języku... Cezar łaskaw: pozwała nam modlić się po słowiańsku. Podziękujcie za to Bogu i proście go o najdłuższe życie i wszelką pomyślność dla naszego Cezara... A kiedy od nas odchodzicie?...

— Jutro, albo pojutrze... — odparł Piotr, który nie dawał się bratu odzywać ile razy zdarzyło się spotkać i mówić z ludźmi, objawiającymi niezgodne z przeko-

nianiami Asana zasady. Obawiał się, aby ten — wyrażając się nowoczesnym terminem — nie skompromitował się.

Ksiądz i setnik pożegnali ich, życząc pomyślności w podróży, i odeszli, a oni udali się do najbliższej wsi i zażądali gościny.

W owych czasach, jak dziś, gościnność była prawem, bardzo silnem bo wrodzonym, pomiędzy Słowianami. Przyjąć w dom gościa, znaczyło: powitać pod swoim dachem zesłaną od Boga radość. Wędrowcy więc nasi nie długo szukali. Do pierwszej chałupy, która im się z pozoru ludniejszą wydała, zapukali, i otworzono im. I przyjęto ich z całą właściwą starożytnym uprzejmością. Posadzono ich na rogożach, przyniesiono wody i białe ręczniki, umyto im nogi, zastawiono przed nimi jadło i napoje — plastry białego miodu, ser, chleb mleko, wino — i usługiwano im, a proszono:

— Jedzcie, pijcie, mili pielgrzymi..

Starzec siwobrody — ojciec, dziad i pradziad licznej rodziny — usiadł przy nich, rozpytywał i bawił ich rozmową. Zeszli się ze wsi gospodarze widzieć ludzi obcych, dowiedzieć się od nich: jak też

świat za górami wygląda?... co tam sły-
chać?...

W najdawniejszych czasach ludzie
ciekawymi byli tego: co tam sły-
chać?

Wędrowcy nasi odpowiadali i pytali
się, i zawiązała się wkrótce pomiędzy ni-
mi a miejscowymi ludźmi zażyłość, która
mało-pomału pozwoliła im wprowadzić roz-
mowę na pożądaną treść.

— Ty ojcze, — rzekł Piotr do star-
ca — musisz dawne, bardzo dawne czasy
pamiętać...

Starzec uśmiechnął się i odpowiedział:

— I lepsze, jak dzisiejsze...

— No... — nacierał Piotr.

— Pamiętam... — tu zniżył głos —
kiedy jeszcze Greków nie było... Rozpo-
wiadano u nas o Grekach i straszono ni-
mi dzieci... Ja po raz pierwszy widziałem
ich, jak miałem lat piętnaście... A temu
już... już...

Wzniósł oczy do góry i przypominał
sobie:

— Już... już...

I wyrzekł, kiwając głową:

— Dziewięćdziesiąt z górą lat...

— Pamiętacie, jak tu przyszli?... —
zapytał Piotr.

— Pamiętam dzień i godzinę... O, jak tego nie pamiętać!... Straszna to była chwila... Krwawe płynęły rzeki... Wówczas wrzała wojna w całej Bułgarii... U nas było cicho... O nas nie wiedzieli... Od nas młodszy wychodzili zbrojni i nie wracali; a przychodzili inni, pokaleczeni, chorzy, i nasze matki dawały im przytułek. Jedni, wyzdrowiawszy, odchodzili, drudzy umierali... Wojna się skończyła. Do nas zbiegło się dużo takich, którzy uniknęli pogromu, dużo niedobitków naszych wojsk. Zrobiło się w naszej dolinie ludno. Przygarnęliśmy niedobitków. Oswoiłiśmy się z nimi. Przyjęliśmy ich za swoich. W każdej chacie było dwóch, trzech. Długo Grecy ani o nich, ani o nas nie wiedzieli. Dochodziły nas tylko głuche wieści, że w rozmaitych kierunkach przeciągali za górami, to tu, to tam. I śmieliśmy się w duchu, myśląc, że nie trafią na nasze ścieżki i powiadaliśmy gościom naszym: bądźcie spokojni... A jednakże starsi z pomiędzy ojców naszych wysyłali często na zwiady i na szczytach gór stawiali warty, a obok nich okręcone smolną słomą wysokie żerdzie... Razu pewnego przybiegł zadyszany posłaniec ze zwiad i oznajmił że, zdaje się, Grecy idą. Uderzono w dzwony.

Ludzie się zbiegli. Jedni mu wierzyli, drudzy nie wierzyli, a on nie umiał powiedzieć z pewnością. Wysłano więc innego dla stwierdzenia wieści. Lecz nim ten zdołał odejść, na szczytach się zadymiło, i słupy płomieniami sztrzeły. I rozbiegł się krzyk przeraźliwy, zmieszany z jękiem i łkaniem niewiast i dzieci: Grecy idą!...

Starzec zamilkł i obejrzał się do koła, jakby strwożony dźwiękiem własnego głosu. Słuchacze otoczyli go gęstem kołem. Lecz on milczał i oglądał się;

— Cóż dalej?...— spytał ktoś z obecnych.

Starzec kiwnął głową.

— Cóż, ojczy?... Mówcie, opowiadajcie... — ktoś się odezwał — Opowiadajcie o dawnych dziejach. Dawne dzieje nie są zabronione...

Starzec westchnął i ciągnął dalej:

— O!... krzyk ten jeszcze i dziś mi w uszach dzwoni!.. Potem powstało zamieszanie. Jedni gdzieś biegli, nie wiedząc gdzie, drudzy, zkaśdś wracali, nie wiedząc skąd... Któryś z gości krzyknął: do broni! I wszyscy mężczyźni, i niektóre nawet kobiety, uzbroili się, jak kto mógł. Kilkaset ludu stanęło pod bronią. Zatar-

sowano ścieżki. Obsadzono przejścia. i czekano.

Starzec zatrzymał się, westchnął, ale nie dał się już prosić.

— Nie długośmy czekali — mówił — ale za to długo się bronili. Przez cały miesiąc napróżno szturmowali Grecy. Napróżno ofiarowali nam ugodę. „Wydajcie, mówili, włóczągów, buntowników, tych którzy zbiegli od naszego pogromu i namówili was do podniesienia broni przeciwko wojskom prawego cesarza. My ich ukarzymy, a wam obłąkanym, przebaczymy“... Jak było tych ludzi wydawać, kiedy oni byli braćmi naszymi!... Nie słuchaliśmy więc Greków, broniliśmy się. Broniliśmy się pomimo pogrózek; że w razie dłuższego oporu, będziemy w pień wycięci... Ci szczególnie, których wróg włóczągami przezywał, bili się walecznie. I wyginęło ich dużo, większa połowa. Grecy sprowadzali coraz świeże posiłki i maszyny, rzucające zdaleka wielkie i ciężkie pociski. I pewnego poranka. przed wschodem słońca, złamali nas, i jak górski potok zleli się na dolinę. Zapalały nasze wsie. Oni rozbiegli się i przetrząsali wszystkie kąty, wszystkie krzaki, pieczary i skały. I dotrzymali pogroźki. Kogo znaleźli, tego włóczniami

lub toporami zarabali. Nie przebaczali ani kobietom, ani dzieciom. Rzeki krwi płynęły. Trupy walały się po polach, po ogrodach i zgliszczach. Po trzech dniach takiej rzezi opuścili dolinę, a w kilka miesięcy później przysłali załogę z setnikiem i poborcą, i pobudowali ten zameczek...

Tu starzec ukazał trwożliwie palcem w stronę, gdzie stała grecka strażnica.

— I od tego czasu?... — zapytał Asan.

— Od tego czasu pochwycił starzec — spokojnie u nas, przywykliśmy do Greków, płacimy im podatki i słuchamy ich. A choć nam ciężko i lepiej było dawniej, to... cóż począć!... Tak snadź Bóg chciał... Święta jego wola...

— Nie próbowaliście już potem nigdy wypędzać Greków?..

— Cóż znów!... — odezwało się naraż kilka głosów — Widać, że z nimi Bóg, kiedy im dał siły... Gdzież nam bezbronny i słabym porywać się!... To wszystko jedno, coby się mucha na lwa porywała... Ani wodzów, ani broni, ani wojska... W jednym Bogu nadzieja... Może on zlituje się nad nami i natchnie Augusta łaskawością i miłosierdziem, że nam umniejszą ciężarów. O to Go tylko błagamy...

Dziękujemy mu za życie, i za to, że nam zsyła takich świętych, jak ojciec Cyryl, mężów, którzy nas pocieszają i nauczają...

— Lepiejby było, gdybyście wyginęli co do nogi!... — odezwał się niecierpliwie Asan.

Oczy wszystkich ze zdumieniem zwróciły się na niego i z odmalowaniem na źrenicach zapytaniem.

— Przynajmniej nie dalibyście życia pokoleniu niewolników — odpowiedział na nieme zapytanie — które nawet jasnych połysków walki o ojczyznę nie znało... Przynajmniej nie dalibyście zaborcy możliwości pobierania od was danin i trzymania was przez to w jarzmie waszym własnym kosztem... Tem, za co Bogu dziękujecie, przynosicie czysty zysk, nie sobie, ale wrogowi ojczyzny... Żyjecie, ciężko pracujecie i płacicie mu za to, że was trzyma w niewoli... I tłumaczy wam, że tak Bóg chce!... I wy temu wierzy-cie!...

Mieszkańcy doliny spoglądali bojaźliwie po sobie, i oglądali się na drzwi. Zrobiło się im jakoś dziwnie straszno. Nie wiedzieli, co myśleć. Jakiem takiemu przychodziło do głowy, że pielgrzym ów

jest szpiegiem, nasłanym umyślnie dla wybadania ich. Jakiego takiego zbierała chętka wziąć go za kołnierz i odprowadzić do setnika, i tylko prawa gościnność stały na przeszkodzie wykonaniu tej chętki. Bo nawet i sposób jego mówienia wydał się im już podejrzanym: postrzegli się bowiem, że wyraża się gładszej i czystszej mową, jak zwyczajny wieśniak. Wskutek zapewne tego ostatniego spostrzeżenia, starzec gospodarz w następujący przerwał mu sposób:

— Panie! my biedni prości ludzie, nie rozumiemy twoich słów. Prosimy cię: przyjmij naszą gościnę dobrem sercem, rozłóż z nami chleb i zostaw nas w spokoju!...

— To mnie nie wierzycie!... — rzekł Asan spuszczać głowę.

— Pokornie cię przepraszamy... — odparł starzec — Pięknie mówisz, widać, że masz rozum; ale my ci nie możemy wierzyć... Ojciec Cyryl ma także rozum, ale on co innego mówi; i my mu wierzymy, bo trafia do naszego przekonania, i znamy go z świętobliwego życia... Ciebie zaś, panie, nie znamy... Tobie, abyśmy uwierzyli, trzebaby, abyś był chyba samym świętym Dymitrem!...

Ostatnie wyrazy starca uderzyły Asana. Podniósł głowę i powtórzył:

— Świętym Dymitrem...

I chciał coś dalej mówić; lecz Piotr mu przerwał. Widział on, jak wieśniacy giestami i głowami potakiwali starcowi. Zrozumiał, że dalsza rozmowa może stać się dla nich obydwóch niebezpieczną. Więc zagadał o czem innem. Zapytał:

— Kto budował cerkiew?...

— August — odpowiedziano mu — Przysłał z Carogrodu architektów, pieniądze i ikony...

— Za wasze pieniądze... — mruknął Asan.

Znów więc Piotr musiał zmienić rozmowę.

III.

Wędrowcy nasi udali się do Konstantynopola.

Z poprzednich rozdziałów wiemy, albo raczej domyślamy się celu ich podróży.

W podróży ich był cel, a w tym celu jeszcze cel, czyli wyrażając się dokładniej: cel prawdziwy był podwójnie zakryty: był najprzód zamaskowany pozorem, a potem usprawiedliwiony istotną chęcią poznania zbliska środków, jakie ojczyzna wędrowców posiadała i posiadać mogła.

Jakim zaś był ów cel istotny? — Na to łatwo odpowiedzieć: — zrzucenie greckiego jarzma.

Zaiste, nie łatwe to było zadanie, trudny zamiar dla dwóch ludzi, dwóch wyjątków z ogółu, z których jeden brał się do niego miękko, bardziej z przywiązania do brata, jak do sprawy, bardziej jako amator dobra i piękna, nie zaś, jako natchniony poświęceniec, a drugi tylko sam jeden, wkładał weń cały zapal, całą swoją duszę.

Ale, gdyby nawet oni obydwaj jednakowym przejęci byli zapalem, to cóż to znaczyło!...

Grecja była potężną. Bułgarja była słabą i spodloną.

Oni dwaj, sami jedni, wyjątki z ogółu, nie mogliby zastąpić zniedołężniałego, spodlonego narodu.

Rozpatrzmy Grecję i Bułgarję.

Grecja, albo raczej wschodnie rzymskie cesarstwo, było potężnem w porównaniu z Bułgarją. Sądząc jednakże bezwzględnie, potęga jego przedstawiała dużo słabych stron, była w fundamentach podkopana. Państwo, nazwane rzymskiem, a będące greckiem, było zlepkiem różnorodnych żywiołów, spojonych siłą i utrzymanych sztuką. Siła zależała głównie na wojsku, a sztuka na wydobyciu pieniędzy. Wojsko i pieniądze, albo pieniądze i wojsko: oto były podwaliny greckiego cesarstwa. Wszystko inne — jak dziejowe prawo, opatrnościowa misja, przywiązanie ludów — było kruchem, wątlm i niepewnem.

Zdobywca żadnego dziejowego prawa nie nabywa. Siła oręża lub podstęp jest historycznym, ale nigdy prawnym, ani prawnym wypadkiem, bywa logicznem, ale ni-

gdy prawem. ani prawem następstwem. Logika bowiem i prawo nie zawsze się z sobą zgadzają. Logicznie postępuje człowiek, który zbiegiem fatalnych okoliczności do ostateczności przyprowadzony, zabija i obdziera równego sobie człowieka, ale — czy prawnie, czy uczciwie?... To samo, jota w jota, dzieje się ze zdobyciami narodów na narodach, z zaborami cudzych ziem i obcych ludów. Logika siły, zasada pięści dają wypadek pomyślny dla zdobywcy i trwają póty, póki działają. Siła i pięść są jednoznaczkami prawności, zwiększającej się w miarę wyteżenia zaborczego ramienia. słabnącej w miarę słabnięcia onego. W tem działaniu nic moralnego nie pośredniczy: całą działalność odbywa sama tylko, sama jedna, zwierzęca, fizyczna potęga.

Zdobycwca czuje niedostatek moralności i odwołuje się do opatrnościowej misji. Opatrzność dała mu — powiada — miecz i siłę, i uczyniła go swoim narzędziem; dała mu misję, którą on spełnił w pokorze i posłuszeństwie. To prawda!... Tak jest: zdobywca jest narzędziem Opatrzności, która mu dała miecz, siłę i misję, ale tylko do pewnego stopnia. Taż sama bowiem Opatrzność nie odjęła pod-

bitemu narodowi pragnienia wolności, pragnienia czysto moralnego, które, jako takie, ma wyższość nad fizyczną potęgą, i usprawiedliwia, uprawnia i uzacnia wszelkie przeciwdziałanie.

W mocy bowiem Opatrzności było dać Grecji zabór, i zarazem pozbawić Bułgarję pragnienia wolności. W takim razie wraz z zaborem odbyłoby się i uznanie onego, moralne uprawnienie. A gdy tego niema: to zawsze, chociażby władza grecka lat sto i tysiąc trwała, zawsze w stosunku do podbitego ludu, jest ona nie czem innym tylko „biczem bożym“, pewnym rodzajem długo trwającego Attylli, który w końcu spotkać się musi z jakimś Aeciusem, dla poniesienia porażki na polach katalańskich, z Leonem świętym dla cofnięcia się przed potęgą moralnej siły. Tak samo Attylla, jak Aeciusz i Leon święty byli narzędziami Opatrzności. Za którymże z nich były: prawność i prawość?... Nie — Opatrzność nie uprawnia podbojów: zsyła je na narody, jak głód, szarancę, morowe powietrze, jak plagi i nieszczęścia, ale zarazem daje środki ratowania się, którym za źródło służy: pragnienie wolności. Póki trwa podbój, wszelki objaw jego władzy jest nieprawnym, każdy krok

tej ostatniej jest nadużyciem, a opór jej mały czy wielki, słaby czy silny, jeżeli tylko wykonanym jest w celu obalenia lub podkopania jej, jest zawsze odwołaniem się do Bożej sprawiedliwości, do której się trzeba odwoływać, aby ją uzyskać, na którą trzeba zasłużyć pracą, poświęceniem i ofiarą.

Cóż więc mówić o przywiązaniu ludów!...

Niewolnicze spełnianie woli zaborczej nie jest przywiązaniem. Widziałem sokółki, z którymi tunetańscy Arabowie na przepiórki polują. Dziś złapane, za dni kilka idą na polowanie w pętach na nogach i z dzwoneczkiem na ogonie, i służą panom swoim doskonale, wiernie, a całą rękojmnią ich wierności jest długi, leciuchny sznureczek, który Arab trzyma za koniec. Ten sznureczek jest przywiązaniem. Gdy się urwie przypadkiem, lub gdy Arabowi z ręki wypadnie, sokół ucieka w pętach i dzwoneczku. Dzwoneczek odstrasza od niego wolnych braci, pęta go o śmierć przyprawiają; on jednakże nie powraca tam, gdzie go trzymało przywiązanie. Pełno zdechłych sokółów wala się po tunetańskich polach. Wszystko to są trupy zbiegów od przywiązania, któremu równem jest przy-

wiązanie podbitych i zabranych ludów. Całą rękojmią ich wierności są: pęta, dzwoneczek i sznureczek. A jeżeli któremu z pojedynczych ich członków uda się urwać sznureczek i uciec, to dzwoneczkiem odstrasza wolnych braci, w pętach umiera, ale nie powraca do zaborcy, gdzie go trzymało przymusowe przywiązanie.

Takie dziejowe prawo miało cesarstwo wschodnie do Bułgarii; takim było przywiązanie słowiańskich ludów do tronu, stojącego w Konstantynopolu, tronu na którym zasiadali: Konstanty wielki, Teodozjusz wielki i Justynian Iszy.

Sławnym był ten tron; lecz cóż ta sława przynosiła Słowianom? — Zhartowanie oków niewolniczych i nic więcej. Sława zaborców smutną jest dla podbitych ludów.

A ponieważ cesarstwo wschodnie nie miało podstaw moralnych we władaniu Bułgarią, albo wyraźniej: ponieważ władanie jego było podkopaniem z gruntu i wywróceniem wszelkiej moralności, przeto musiało tworzyć moralność sztuczną, naciągniętą, musiało konspirować przeciwko podbitym ludom.

Ciekawem jest pytanie: na czem ta

konspiracja zależała, konspiracja, *nota bene*, silnych przeciwko słabym?...

— Oto na utworzeniu religijnej żandarmerji.

W widokach czysto ziemskich wmówienia prawa do władania, stracili Grecy religię z wysokości boskiego jej pochodzenia, i zrobili z niej służebnicę nieprawości i podporę niemoralności. Garnizonem po wiejskich i miejskich kościołach osadzili armję sług ołtarza, kaznodziei i spowiedników, których główna komenda ześrodkowywała się w osobie patryarchy, a patryarcha trzymał za jedno z tronem. Słudzy ołtarza, kaznodzieje i spowiednicy grali rolę przyjaciół ludu, ojców duchownych, lekarzy dusz, pocieszycieli, nauczycieli, słowem, Chrystusowych namiestników, a byli: cesarowymi agentami. Zamiast więc wpaść moralność, demoralizowali, zamiast pocieszać i nauczać, bałamucili lud, zakrywali przed nim starannie światło, a ukazywali mu blask majestatu augusta. Tym blaskiem olśniewali biednych chrześcijan, którzy z nauki Chrystusowej mieli samą tylko formę, a nauki żadnej, albo raczej zamiast nauki propagandę grecką w postaci nakazów. Bóg dał cesarowi władzę i na-

kazał go słuchać: oto był cały sens moralny tego greckiego chrystjanizmu.

A pod tym sensem moralnym, jak pod szeroko rozpostartym sztandarem, stała moc wielka cywilnych i wojskowych urzędników—rządców, poborców, celników, prefektów, pułkowników, setników — i wojskowych garnizonów, wspierających go i powagą i siłą. Kiedy kapłan z przed ołtarza głosił posłuszeństwo dla cezara, to wysocy dygnitarze od głosu tego pochylali się pokłonem, jak zboże od powiewu wiatru, i lud myślał sobie w duchu:

— Jeżeli tacy wielcy tego świata kłaniają się, to wielką, to boską musi być potęgą tego cezara...

A kiedy najmniejszy jaki wyraz krnąbrności, lub żalu na ucisk władzy, albo na niesprawiedliwość jej, albo przypuszczenie o jej nieprawości doszły do uszu cywilnych i wojskowych augusta urzędników, to oni nazywali to buntem i surowemi ścigali karami.

Lud więc, postawiony pomiędzy tem, co widział i słyszał, a tem czego doznawał, musiał cierpieć, milczeć i być posłusznym, a jeżeli go spytano:—odpowiadać:

— Kocham, wielbię, szanuję Augusta i jestem mu posłusznym...

Mógł - że on, pod groźbą kar, inaczej odpowiadać!... Bez względu jednakże na to, te jego odpowiedzi były oficjalnie uważane i podawane, jako dowód przywiązania do tronu. I w istocie rzeczy, tak był on obalamucony, że w końcu sam już nie wieział, czy jest przywiązanym, czy nie.

Sztuczne to wyrobienie moralnego przywiązania miało na celu nagięcie ludu do posłuszeństwa, którego ostatecznym, dotykającym, a reasumującym w sobie wszystko objawem było: płacenie danin.

Daniny ogromnie ważną grały rolę: one trzymały i wiązały cały mechaniczny ustrój greckiej władzy. Za ich bowiem pomocą utrzymywani byli urzędnicy i wojsko, zakładane kościoły i seminarja. Wszystko, co moralnie i materjalnie ciążyło na ludzie, lud własnym ponosił kosztem, z własnej opłacał kieszeni, jak owe dziecko, któremu kaza, aby samo na siebie robiło i nosiło różgi. Wyrabia się przez to — powiadają — w dziecku pokora. Ten sam skutek wywierają i daniny, szczególnie takie uciążliwe, jakie cesarstwo greckie zaprowadziło w Bułgarii. Justynian I. dla poratowania finansów państwa, wprowadził monopole. Jego następcy roz-

szerzyli ten system. Omonopolizowano wszystko i opodatkowano wszystko. Obok uwyłączenia praw produkowania i przyrządzania najpierwszych potrzeb życia, za które producenci płacili ryczałtem do kasy greckiej i wyczyskiwali przywilej wyciągania z konsumentów kapitałów, z jakimi sami chcieli procentami, konsumenci opłacali ze swojej stroły: za prawo oddychania powietrzem i chodzenia po ziemi, za prawo rodzenia się i umierania; płacili za to, że mieszkali we własnych domach, i za to, co jedli, i za to, co pili, i za to w czym chodzili, i za to, czym jeździli, i za bydło, i za owce, i za zboże, i za winnice, i za frukta, słowem, za wszystko. Nieznanami były Grekom opłaty od zarobków; więc nie było danin nazwanych zarobkowemi, ale była rzecz; i zarobki były dotknięte ukośnie, pośrednio, to przez monopole, to przez daniny od przedmiotów konsumacji. Tak samo rzecz się miała i ze stęplami, również Grekom nieznanami, które jednakże istniały w postaci opłat od wszelkiego rodzaju sprawiedliwości, od wszelkiej — jakbyśmy teraz powiedzieli — sprawy. Zawsze część tych danin, rozmaitych nazwą, a jednakowo uciążliwych, pobierała się w naturze jako dziesięcina

i była wydzierżawiana: znaczniejsza jednakże szła w pieniądzech do greckiego skarbu. Z tego powodu dwojaki rodzaj poborców ciążył nad krajem i nie dawał mieszkańcom jednej chwili spokojnie i swobodnie odetchnąć. „Płać i płac” brzmiało im w uszach nieustannie. „Za wszystko trzeba płacić” stało się fundamentalną podstawą całej ekonomji państwa, całego porządku greko-cesarsko-społecznego, który przez księży przedstawianym był, jako wprost z woli Boga płynący.

Księża byli spółnikami zaborczej potęgi i przedstawienia ich były mocno podejrzane. Ale lud o tem nie wiedział. Dawał im wiarę, bo lud potrzebuje wierzyć. Wierzył więc, cierpiał i milczał, obalamucony i ogłuszony, olśniony i ogłupiony.

Za co on płacił? — Za wszystko — jak powiedziałem wyżej — co moralnie i materialnie ciążyło na nim: sam robił i nosił na sobie różgi, któremi go siekł Greczyn. Pomiędzy różgami temi, po garnizonie religijnym, najważniejszą rolę grały garnizony wojskowe. Wojsko było jakby drugim końcem więziennej zasuwy, której pierwszy stanowiło duchowieństwo. Od wojska do duchowieństwa ciągnął się, spojonymi pilnie dzwonami, łańcuch wszelkiego

rodzaju urzędników, który je łączył i zlewał w jedno, tak że prefekt pretorji, w szyszaku i zbroi, był koniecznem dopełnieniem kapłana w ornacie i kumiławce. *Labarum* i chorągiew kościelna różniły się pomiędzy sobą tylko nazwą: pierwsza była sztandarem bosko cesarowskiego, a druga boskopatryarszego namiestnictwa. Przepisy tego ustroju były wyłożone i wyjaśnione w Justynianowych kodeksach, Pandektach i Instytutach, rozumienie których, nie takie jak oficjalne było przyjętem, ściągało na siebie karę za fałszerstwo, bez względu na to, że cała kompilacja Triboniana*) była naciągnięciem i nakręceniem urzędzeń republikańskich do potrzeb absolutnego cesarstwa, i z tego powodu nie mogła nadać się do potrzeb ludu, jak wszelkie tegoż rodzaju, w naszych i blizkich nam czasach, próbowane tak zwane konstytucje. A ponieważ nie mogła się nadać, więc trzeba ją było podtrzymywać gwałtem. Czynnikiem gwałtu było wojsko.

Jeszcze Justynian więcej jak ośmdziesięciu fortecami i obronami zamkami

*) Tribonianus, żyjący w pierwszej połowie VI wieku, był głównym redaktorem Kodeksu, Pandektów i Instytutów.

najeżył brzegi Dunaju, od ujścia Sawy aż do Euxynu. Pod jego następcami fortece te, jedne padały, drugie się wznosiły, inne przenosiły. System jednakże, uznany jako dobry, był utrzymany i w epoce, do której powieść nasza się odnosi, już nie same tylko wybrzeża Dunaju, ale i wewnątrz kraju, podnóża, wąwozy i przechody gór Henu, były twierdzami nasiane. Każda miała garnizon, a oprócz tego ruchome kolumny patrolowały po kraju. Wielkiem więc musiało być wojsko, wielkimi musiały być koszta utrzymania onego. Koszta te ciążyły na podbitych Bułgarach, tak jak w innych prowincjach cesarstwa na innych ludach. Wojsko pochłaniało większą połowę danin.

A nie tylko wielkiem, ale silnem, bitnem i doskonale uorganizowanem było wojsko augusta. Stosunek jego pod względem siły, bitności i organizacyjnej doskonałości do podbitych ludów, był zupełnie taki sam, jak w naszych czasach stosunek armji regularnych do ludów w ogólności. Starożytni nie posiadali dział i broni ognistej, ale za to posiadali katapulty i balisty, łuki i proce, z których na daleką sięgali odległość, i włócznie, które ciskali; mieli więc naszą broń ognistą, bez huku

jej i loskotu, które w skutkach swoich więcej czczego przestachu, jak śmierci roznoszą; mieli też i szyk ściśle zastosowany do owoczesnej zaczepnej i odpornej broni, i żelazne w łuszczkę lub w drucziane kółka ubranie. Ich gęste, głębokie, ściśnione falangi lub legjonów kolumny, najeżone dzid lasem i zakryte zachodzącemi jedna na drugą tarczami, były mocniejsze w oporze i impetyczniejsze w ataku od naszych karebatalionów. W oporze falanga przyklękała i okrywała się dachem tarcz; a tak silnemi były tych starożytnych ramiona, że po tym dachu, jak po moście, można było koniem przegalopować. W ataku uderzała jak taran, jak jedna ogromna, a ciężka masa żelaza, włóczniami nabita. A szeregi przedstawiały spoistość nierozdzielalną. Nie będę jednakże opisywał szyku i sposobu wojowania starożytnych, dlatego, że i bez tego już, tem co powiedziałem przekroczone granice powieści, przekroczyłbym bez miary. Potrzebuję wszelako dodać, że szyk ów był bardzo skomplikowany i wymagał wielkiej wprawy żołnierza, a potrzebuję to dodać dlatego, aby wykazać z jednej strony, siłę cesarskiej władzy, z drugiej względną słabość Bulgarów.

Ci ostatni byli rozbrojeni przez długi ciąg całego wieku. Byli rozbrojeni i odwykli od wojny, a więc słabi. Porwanie się ich na greckich cesarów władzę znaczyłoby tyle, co porwanie się muchy na lwa. Tak oni rozumowali w pierwszych chwilach upadku, po 1074 roku, a w epoce, w której powieść nasza rozpoczyna się (1185), już i rozumować zaprzestali, już ani przypuszczali możliwości powstania. Tradycja o niepodległości narodowej stała się dla nich śliczną bajką, którą starzy opowiadali, a której młodzież słuchała, jak opowiadań o sennych widzeniach.

W początkach upadku, po rozgromieniu i rozprzeżeniu wojsk bułgarskich, Bułgarzy niektórzy wpadli na myśl służenia w szeregach cesarskich, dla wyćwiczenia się w wojennem rzemiośle, w celu oddania się później na usługi ojczyźnie. Zaciągali się więc do wojska i zaprzepaszcza-
 li. Zapominali o pierwotnym celu i przywiązywali się do zaborczych sztandarów. Mówili o honorze i przysiedze, jakby był jaki honor w nieprzyjacielskich szeregach, jakby wolno było człowiekowi składać przysięgę przeciwko własnej Ojczyźnie. Lecz takim był czas nawyku czy żołdu, czy dostojenstw nabywanych pod cesarskimi

sztandarami, że Bulgar setnik, Bulgar-pułkownik, Bulgar-hetman stawał się stokroć nieprzyjaźniejszym dla spółrodaków od rodowitego Greka. A przytem władze greckie umiały robić pomiędzy nimi wybór. Takich, których wierność wydawała się im podejrzaną, odsyłały do Azji, a w Europie pozostawiały wypróbowanych przemieszczeń, którzy spółziomkom swoim służyli, jako żywy dowód potrzeby ślepej uległości i psiej wierności konstantynopolskiemu tronowi. Pomędzy tymi ostatnimi wiele członków dawniej królewskiej Komitopulów rodziny i wielu najpierwszych w narodzie familji najważniejszą grali rolę, największe oddawali tronowi usługi, a to z tej przyczyny, że lud zapatrywał się na nich, jako na naturalnych, opatrnościowych swoich przewodników.

Byli jeszcze i inni pomocnicy tronu. Byli zamożni i wysokiego rodu Bulgarzy, którzy grali rolę popadłych w niełaskę opiekuna Augusta. Zamożność i ród zasłaniały ich od prześladowań greckich i ułatwiały niesienie pomocy pojedynczo skompromitowanemu spółrodakom. Byli oni niegdyś przy dworze i w łaskach, lecz wypadli z łaski. Ta okoliczność szczególnym sposobem wpływała na ich wziętość w na-

rodzie O wypadnięciu z łaski niestworzone opowiadano rzeczy i dotkniętych niem, podnoszono do wysokości narodowych bohaterów, tembardziej jeżeli który z nich, obdarzony od natury ludzkim sercem, lubił czynić powszechnie dobro. Każdy krok takiego z góry naznaczony był cechą niepospolitości, każde jego słowo z góry uznaniem było za czystą bez skazy mądrość. A nie wchodzono w to bynajmniej, że wypadnięcie z łaski mogło być skutkiem prostego niepodobania się, zwyczajnego kaprysu, którym tak często dworacy, faworycy i ministrowie podpadają. W Konstantynopolu, od czasów Bulgarochtona dwudziestu pięciu przeminęło cesarów, iluż to musiało być wypadłych z łaski dygnitarzy... Nie zważano jednakże na to.

— Był przyjacielem Augusta... — opowiadano o tym, lub owym.

— Dziś jest przyjacielem ludu...

I kiwano poważnie głowami i mrugano tajemniczo oczami, co oznaczało: że ten był przyjaciel Augusta, dla samego wypadnięcia z przyjaźni, musi być bardzo zacnym, i takim mądrym, że słyszy, jak trawa rośnie.

— Był przy wielkim ołtarzu... — opowiadano jeszcze — grzał się przy największym

szym płomieniu, patrzył własnymi oczami na najjaśniejsze światło, to on musi już tam wiedzieć o wszystkim...

I ślepo mu wierzono. A on tęsknił do łaski, jak do utraconego rajy i ubrał się w szaty wygnanego niesłusznie anioła, wróciłby jednakże do owego rajy, gdyby mu tylko bramę otworzono.

Wielu też powracało. Niektórzy jednakże rezygnowali pod starość i bawili się do śmierci w dobroczyńców ludu, pełni dobroci dla spółziomków, pełni względności i wyrozumiałości dla władz.

Wpływ tych ostatnich był bez porównania większy, niż duchowienstwa. Imiona ich szeroko brzmiały sławą po całej Bułgarji. Wymawiano je z uszanowaniem, z głęboką czcią. Oni godzili grecką władzę z bułgarskim ludem. Oni byli patryjotami, ale... umiarkowanymi. Oni władzy nie przerabiali, bo ta ich o radę nie pytała, szła sobie swoim trybem, postępowała swoim najdogodniejszym dla siebie sposobem -- pokornych głaskała, krnąbrnych karciła; ale przerabiali lud, który, jak pies do obroży, coraz bardziej przyzwyczajał się do jarzma. Za ich to sprawą, kiedy w przeciągu długiego wieku niewoli ojczyzny cesarstwo wschodnie kilkakrotnie wstrząs-

nionem było w posiadach i zagrożonem zgubą, Bułgarja nie korzystała, nie porwała się do broni, nie upomniała się o prawa swoje. Zwykle w takich razach augusty ulżywali jarzma, odwoływali nawet garnizony. Umiarkowani wołali:

— Dzięki Bogu!... teraz już nam trochę łżej; później będzie jeszcze łżej; i tak po troszeczkę przyjdzie nakoniec do tego, że będzie nam dobrze... Czekałmy! bądźmy cierpliwi!... Bóg się nad nami zlituje... I nam słońce zaświeci... Niechajno.. Cezar na wielkorządę da nam Bułgara!...

Na podnoszeniu tej ostatniej nadziei szczególniejszy kładli przycisk, dlatego zapewne, że każdemu z umiarkowanych wydawało się:

— A nuż mnie dostanie się wielkorządztwo.

Wielce im też chodziło o pomyślność cesarstwa, a to z tego powodu, że jeżeliby się w Konstantynopolu raz uspokoiło, gdyby się następstwo tronu ustaliło, a zewnętrzni nieprzyjaciele upadli, to tron przestałby potrzebować utrzymania licznych wojsk i agentów, mógłby umniejszyć wydatki, uregulować finanse, a zatem i w podatkowym systemie mogłaby pomyślna dla kraju zająć zmiana, i we wszelkiego ro-

dzaju ciężarach publicznych nastąpiłaby ulga.

Był to więc patriotyzm. Umiarkowani życzyli krajowi dobrze. W ich postępowaniu prywatnem nie było nic a nie do zarzucenia, ale w sferze publicznej usypiali naród, który przespał wszystkie sposoby do wybicia się na niepodległość chwile, kiedy dynastje Dukasów i Komnenów prowadziły ciężkie i rujnujące wojny, to z Turkami Seldżukami którzy im dwie trzecie azyjskich posiadłości wydarli, to z Normanami i Węgrami, z których pierwsi morzem, drudzy lądem napadali na cesarstwo, to nakoniec, kiedy krzyżowe wyprawy w przeciwną stronę odwlekaly uwagę i siły greckie. Wszystkie te wojny prowadzone były kosztem Bulgarów. Ich prace, ich krew szła i lała się na nie swoją i za nie swoją sprawę; przeciwnie: na podtrzymanie wroga, na zabezpieczenie mu posiadania ich własnej ojczyzny, za tego, co ją ujarzmił, i to wśród takich okoliczności, że dziesiątą częścią wydanych wrogowi kosztów można było opędzić odzyskanie własnej niepodległości. I za to wszystko cóż Bulgarzy otrzymali? — Oto: pozwolenie modlić się bulgarskim językiem, tym językiem, na który Cyryl i Metodjusz

pierwsi dla Słowian przetłómaczyli pismo święte. Umiarkowani nie omieszkali podnieść to pozwolenie.

— Doczekaliśmy się — mówili — jednego; doczekamy się jeszcze i czegoś więcej... August myśli o bółgarskiej narodowości...

I dodawali z tajemniczą miną:

— Słychać że następca tronu uczy się po słowiańsku — i ma zamiar słowiańskie ogłosić cesarstwo, dla tego że przez wiek cały tron doświadczył niezłomnej Bółgarów wierności, a Grecy mu się często sprzeniewierzali... Czekajmy...

Bółgarzy wierzyli i czekali. A daininy wzrastały, a ciężary się zwiększały, a jarzmo coraz dotkliwiej przygniatało.

Jednym z najznakomitszych i największych ze wszystkich, jacy przed nim istnieli, mający wpływu umiarkowanych był Radomir Sursuwuła, ze starożytniej, jeszcze za Symeona znanej Sursuwułów rodziny, która w lepszych czasach dawała Bółgarii wojewodów i wysokich dostojników i połączona była z panującymi niegdyś familjami.*)

*) Druga żona Symeona, jednego ze znakomitych królów bółgarskich, była córką Jerzego Sursuwuła.

Kredyt jej był zawsze ogromny, ale szczególnie podniósł się przez Radomira, który młode swoje lata spędził na dworze Emanuela I Komnena, znanego z wojowniczego ducha i rozpusty, i posiadał takie zrazu Augusta zaufanie, że ten użył go do trudnej i delikatnej misji porozumienia z Turkami w celu przeszkodzenia powodzeniu krzyżowej wyprawy, prowadzonej przez Konrada, cesarza niemieckiego i Ludwika VII. młodego króla francuzkiego (1147). Misja powiodła się mu doskonale. Turcy, uprzedzeni, przysposobili się na przyjęcie krzyżowników, zadali im klęskę pod Antiochją i zmusili do zdjęcia oblężenia z Damaszku. August obsypał Radomira łaskami i dostojęstwami. Bułgarzy cieszyli się, że Sursuwuła jest przy dworze i obiecywali sobie wielkie rzeczy. Grecy z zazdrością spoglądali na Bułgara, którego uważali jako intruza. Lecz raptem Radomir wypadł z łaski. Dlaczego? — nie wiadomo. Jedni mówili, że ośmielił się strofować Augusta za rozpustę, drudzy, że August dostrzegł w nim bułgarskich widoków. To pewna, że Emanuel Komnen, po oddaleniu od boku swego Radomira, zmienił politykę, wdał się w wojnę najprzód z Rogierem sycylijskim, potem z Azedynem, suł-

tanem tureckim i okrutnie obszedł się z Serbami, którzy powstali. Radomir oddalił się i osiadł w Tyrnawie, gdzie pędził życie ciche i przykładne, poświęcone naukom i dobroczynności, i dziwnie różniące się z rozpustą dworską. Wszystkie wojny Emanuela nazywał nieszczęściami, a najmocniej ubolewał nad szaleństwem Serbów, którzy ściągnęli na siebie mściwy oręż Augusta. Kilkakrotnie rozchodziła się wieść, że wypadły z łaski Sursuwuła powróci do dworu.

Wieść ta nabrała była nawet pozorów pewności, kiedy Emanuel umarł, a na tron wstąpił dwunastoletni Aleksy II. pod opieką matki. Powiadano, że rządy państwa dostaną się doświadczonemu, cnotliwemu i znanemu z przywiązania do tronu Radomirowi, który już wówczas siwym pokryty był włosem. Lecz stryj młodego Aleksego zawiódł oczekiwania Bulgarów: ogłosił się najprzód regentem, potem koronował synowca, potem kazał go udusić i siebie obwołał Augustem, pod imieniem Andronika I Komnena. Radomir pozostał w swym ustroniu, w ojczystym grodzie, otoczony przyjaciółmi i wielbicielami i polecający do koła siebie: cierpliwość i czekanie.

IV.

A wędrowcy nasi szli i szli do Konstantynopola. Już nie zatrzymywali się po wsiach i miastach, nie zbaczali ani na prawo, ani na lewo. Po południowej pochyłości Bałkanów dostawszy się na równiny trackie, pospieszali, jakby im pilno było. Gościnność wszędzie znajdowali z łatwością, bo do samych wrót stolicy cesarstwa szli wśród słowiańskich osad. Greków było tyle tylko co wojskowych załóg, urzędników i celników. Zresztą wszystko Słowianie: rolnicy, pasterze, mieszkańcy wsi i miast.

Piotr był wesół, Asan smutny. Piotr starał się rozweselić brata, a przynajmniej rozpogodzić mu czoło, wytrącić z myśli smutek:

— Człowiek — perswadował mu — robi, co może, na co starczą siły... Smucić się, dlatego że brak sił, jest to obwiniać Opatrzność...

— Człowiek robi, co powinien... — odpowiedział Asan — co mu nakazuje obo-

wiązek. Gdy ma obowiązek przed oczyma, to nie ogląda się na możliwość; Opatrzność nie może się mylić i być niesprawiedliwą: dać obowiązek, a nie dać możliwości do spełnienia onego... Opatrzność nie może żartować sobie z ludzi: gdyby bowiem w ten sposób żartowała, nie byłaby boską, ale szatańską...

— Co!... bluźnisz!... — przerwał.

— Nie... — odparł spokojnie Asan — Nie bluźnię... — Chcę tylko usprawiedliwić Opatrzność, nieodpowiedzialną za to, że my tchórze i niedołęgi, że dajemy się oszustom i wrogom bałamucić!... Opatrzność, dawszy nam obowiązek, dała i siły...

— A kiedyż w te siły straciliśmy wiarę... — znów przerwał Piotr.

— Nie w siły, ale w Opatrzność straciliśmy wiarę.. — podchwycił Asan. — Stailiśmy się balwochwalcami i zapomnieliśmy o najpierwszych na ziemi powinnościach człowieka względem ojczyzny... To zapomnienie gniewa mnie, nie smuci... Ja nie jestem smutny, bo wiem, że przy pomocy świętego Dymitra, wiara w Opatrzność powróci, a z nią i przypomnienie powinności i siły...

— Co?... — zapytał zdziwiony ostatnimi wyrazami brata Piotr.

— Przy pomocy św. Dymitra wiara w Opatrzność powróci, a z nią i przypomnienie obowiązku i siły... — powtórzył Asan i uśmiechnął się.

Piotr spojrzał na brata uważnie i ze spólczuciem, jakby, litując się jego uporowi przy raz powziętej, bardzo szlachetnej, ale niemożliwej w skutecznieniu myśli, wzruszył ramionami i szedł przez jakiś czas w milczeniu. Mówiąc wyraźnie, miał on go w podejrzeniu o lekkie początki obłąkania. Chciał więc na inny przedmiot zwrócić jego uwagę, rozerwać i zająć jego umysł. Asan, uśmiechnąwszy się na wspomnienie św. Dymitra, uśmiechał się ciągle, to raptem surowiał na twarzy, i po chwili powiedział do siebie, ale głośno:

— Ten starzec z bałkańskiej doliny poznał mnie ze św. Dymitrem... Dzięki mu!... To dobra znajomość...

Piotr udał, że tego nie słyszy, i odezwał się:

— Jakże tam tęsknić musi za tobą Marja, jak wygląda twego powrotu!...

— Niech tęskni, przetęskni się... — odrzekł Asan. — Ona wie, że ją kocham po ojczyźnie, i że gdyby ojczyzna tego wymagała, tobym do niej nigdy nie wrócił...

Piotr wzruszył ramionami i już mało do brata odzywał się, bo o czemby nie zagadał, zawsze on znalazł sposobność bądź nakręcić rozmowę na ojczyznę, bądź wtrącić ją, chociażby do takiego przedmiotu, który zdawało się, najmnijszego nie miał z nią związku. Ten rodzaj choroby w naszych czasach nazwanoby ojczyznomanją. Martwiła ona Piotra. Radby on był, aby umysł brata czem innem się zajął. Ale trudna była rada. Asan zwykle milczał, a jeżeli się odezwał, to o ojczyźnie. Widać, że o niej tylko myślał, że w duszy jego świeciło jakieś zaranie, które miało rozjaśnić się czynem, że głowa jego brzemieną była jakimś zamiarem, którego urzeczywistnienie było niedalekiem. To jedynie pocieszało zmartwionego Piotra, że w odezwaniach się Asana nie dawało się spostrzegać pomieszanie, nie objawiał się nieład splątanych po warjacku myśli, wyjąwszy jakiegoś rodzaju manji o świętym Dymitrze, na którego pomoc zanadto, zdawało się, liczył. Raz mu to powiedział.

— Widzisz mój bracie — odrzekł Asan — nasz lud jest obalamucony. Nie czas go oświecać, kiedy potrzeba wyruszać w pole. Oświecać, a potem wyruszać, to

strasznie długa droga... Nią, ani my, ani nasze prawunki, za lat sto i tysiąc, nie dojdziemy do celu, tymbardziej, że każdemu słowu prawdy zaprzeczają popy i Rado-miry, i za każde grecki urzędnik wsadzić może do więzienia, a za dziesięć powiesić.. Byle nam tylko wyruszyć w pole.

Jaki jednakże był związek pomiędzy ó-tym Dymitrem, a wyruszeniem w pole, o tem nie powiadał, pomimo że go się Piotr pytał.

Szóstego dnia spiesznej podróży, zbliżając się do małego miasta, zwanego dziś Siliwrją, ujrzeni wędrowcy nasi Proponditę. Znam tę drogę, bo i ja nią przechodziłem. Nie była ona jednakże taka, jak dziś. Pro-wadził tedy szeroki, wygodny, murowany gościniec, którego ślady podziwiać można w pozostałych gdzieniegdzie kawałkach. A i kawałki te zarosły już trawą i podziurawiły się głębokimi jamami. Nikt po nich nie jeździ, nikt nie chodzi. Trakt, grząski w roztopy i podnoszący się chmu-rami kurzawy w posuchę, przechodzi bokiem, a na kładzionych rękami Rzymian kamieniach tylko czasem mewa na spoczynek usiadzie, lub zwinna juszczurka wybiegnie i ciekawie przypatruje się wlokącym się nowoczesnym traktem spadkobier-

com rzymskiej wielkości. Za czasów jednakże Piotra i Asana murowana droga była całą i mocną. Na niej mewy nie siałady, ani jaszczurki nie biegały; bo po niej szli i jechali piesi i jezdni, i ciągnęły wozy aż z nad Dunaju, aż z Panonji, a wszyscy i wszystkie do greckiego Konstantynopola, do słowiańskiego Carogrodu, do starożytnego *Byzantium*. Droga ta od Siliwrji trzymała się morza i kończyła u pierwszej bramy stolicy. Okolice, któremi przechodziła, były takie same jak dziś: pozaokrągłane w łagodne wzgórza, poprzecinane prostopadle ku morzu schodzącymi rozdolami, zielone, uśmiechnięte i obciągnięte złotym szlakiem płaskiego morskiego wybrzeża, najeżonego gdzieniegdzie siwymi skałami.

Wędrowcy nasi weszli do stolicy przed wieczorem, i od razu poczuli się zgubionymi jednostkami w ogromnym tłumie ludu. Zrazu, jak tylko przekroczyli bramę, miasto wydało się im pustem. Spotykali wprawdzie ludzi, ale rzadko, i tak zajętych, tak szybko gdzieś idących, że z żadnym nie mogli się rozmówić, bo żaden nie miał czasu. Wszyscy dążyli w jedną stronę, a nikt nie wracał. Jezdni pędzili czwałem po bruku i wywracali pieszych. Wywró-

ceni zrywali się klęli, i biegli. Kobiety wychylały się z lektyk i nagliły tragarzy do pospiechu. Pośpiech był w ruchach i na twarzach wszystkich. Tentent i zgiełk napełniały ulice; a nad tententem i zgiełkiem panowało jęczenie dzwonów.

— Jakies święto, jakaś uroczystość być musi, ale jaka?...—rzekł Piotr.

— Może tryumf augusta... — odparł Asan.--Zapewne Andronik I uczcił siebie tryumfem za jakie ze swoich okrucieństw... Może odniósł zwycięztwo w cyrku...

— Cicho!... — odezwał się Piotr — Nieraz słyszałeś, co Radomir mówił, że w Carogrodzie i brukowe kamienie mają uszy...

Lektyka jakaś zatrzymała się w tej chwili na środku ulicy. Zmęczeni i oblani potem tragarze stanęli dla zachwycenia w płuca powietrza. W lektyce siedziały dwie niemłode damy, które, sądząc po ich stroju i minie, należały do wyższej sfery towarzyskiej.

— Oni stoją!... Spóźnimy się!... — wołała jedna z akcentem niecierpliwości.

— Spieszcie się, hultaje — zawołała druga — Na hippodrom!... Z ust przechodniów wydzierały się często okrzyki:

— Na hippodrom!... na hippodrom!...

Z tych okrzyków poznać można było cel powszechnego pośpiechu, ale nie można było poznać powodu. Dla dowiedzenia się o nim, Piotr zbliżył się do lektyki i zapytał jedną z dam:

— Co to na hippodromie?... czy tryumf?...

Dama spojrzała na niego z ukosa i pogardliwie i odrzekła:

— Tryumf...

Lecz w tonie jej głosu, którym ten wyraz wymówiła, znać było, że skłamała, że nie uznawała za dostojne swojej godności wdawać się w rozmowę z chłopem. Tego rodzaju damy bywały i w starożytności.

Piotr poznał sens odpowiedzi; rzekł więc do brata:

— Chodźmy i my za innymi... Zajdziemy na hippodrom i zobaczymy, co tam się dzieje...

Nie trudno im było trafić. Przewodników coraz się mnożyło. Coraz większym stawał się tłum ludzi, z którym wpłynęli na koniec na obszerny plac, i musieli zatrzymać się wśród ciżby.

Zgiełk był nie do opisania. Słysząc było jakieś okrzyki — dokoła luczały głośnie rozmowy — ale nie było sposobu

z okrzyków i rozmów domyślić się, o co chodzi, dlatego, że jedne mieszały się z drugimi, jedne przerywały drugie. Piotr wyteżał słuch i nic nie rozumiał. Asanowi na nicby nie posłużyło najmocniejsze wyteżanie, bo on nie umiał po grecku. Więc obydwaj bracia poprzestać musieli na tem, co widzieli.

Cóż oni widzieli?

Obszerny kwadratowy plac, otoczony portykami pysznych pałaców. W głębi połyskiwała złotem kopuła, wystrzelona wysoko w powietrze, a taka lekka, że zdawało się, jakoby ulatywała, wsparta od niechcienia na pomniejszych kopułkach, które wszystkie razem służyły niejako za olbrzymi, zfalowany w wypukłości piedestał, podnoszący ku niebu krzyż, znamię chrześcijańskiej wiary. Na środku placu wznosiła się kwadratowa z granitu kolumna; dalej inna kolumna, także kwadratowa, ale z brązu, a taka wypolerowana, jakby ze szczerego ulaną była złota; dalej jeszcze inna kolumna, zielonkawa, skręcona z trzech węży, których łby olbrzymie górowały nad tłumem ludzi, i paszcze, zdawało się, syczały zgielkiem. W każdym rogu placu, jakby na warcie, stał koń brązowy, a tu i ówdzie rozsiane były

marmurowe i bronzowe posągi. Bruku nie było widać, bo w tej chwili plac jakoby wybrukowany był łbami ludzi i podniesiony na wysokość ich ciał, maskujących do połowy piedestały kolumn i posągów, dziwnych bogactwem i pięknnością. Lecz najdziwniejszem wydało się, że po nad tym brukiem ruchomym, pomiędzy temi marmurami i bronzami, wznosiły się dwa proste, drewniane, grubo ociosane słupy, związane u wierzchu poprzeczną belką.

Wędrowcy nasi, pomimo że po raz pierwszy w życiu byli w Konstantynopolu, znali go jednakże z opowiadań, znali szczególnie hippodrom, o którym mnóstwo krążyło powieści. Na hippodromie bowiem odbywały się wszystkie uroczystości i tryumfy publiczne, wszystkie igrzyska i wyścigi cyrkowe. Hippodrom był polem popisów i walk Błękitnych i Zielonych, którzy niekiedy rozlewali krew za honor koni i zręczność powożenia, ale częściej wzbijali migotliwą kurzawę różnobarwnego — złotego, srebrnego, szafirowego i purpurowego — piasku, jakim posypany był plac. Opowiadano o tem po wszystkich zakątkach cesarstwa i opisywano pole popisów z najdrobniejszymi szczegółami. Piotr więc i Asan, nie pytając nikogo,

mogli poznać od razu, że ta pyszna kopu-
 ła wznosiła się nad kościołem świętej
 Zofji, i że granitowa kolumna była obeli-
 skiem Teodozjusza, a bronzowa obeliskiem
 Konstantego Porfirogenity, że węże były
 temi samemi, które sprowadzono z Delfos,
 gdzie służyły za podstawę trójnoga, poświę-
 conego Apolonowi *); poznali i bronzowe
 konie i wiele posągów, ale żadną miarą
 poznać nie mogli drewnianych słupów z po-
 przeczną belką, na której wisiał konopia-
 ny powróż, ani zdołali domyśleć się, co ta
 wystawa może oznaczać — bo nie mogli
 przypuszczać, aby na hippodromie ośmie-
 lił się kto, chociażby i sam August, posta-
 wić szubienicę.

A jednakże była to szubienica. Wzno-
 siła się ona spokojna, cicha i jakaś taka
 skromna, i niby bojaźliwa, jak prostak
 w eleganckim balowym salonie. Prostactwo
 jej wyraziście odbijało od pomników i pa-
 łacowych portyków. Jakby kto gbura

*) Pomniki te istnieją po dziś dzień: obelisk
 Teodozjusza w całości, z obelisku Porfiro-
 genity pozostały tylko cegły, bo Turcy ob-
 darli bronzową sukienkę, myśląc, że to złoto;
 węzom utracono głowy; konie figurują po-
 dobno obecnie na placu śtego Marka w We-
 necji, z posągów żaden nie został.

w siermiedze postawił pomiędzy wymuskanymi panami. Powróż chwiał się lekko, poruszany wiatrem, który z Bosforu powiewał. I powróż ten był prosty, ordynaryjny, taki, który, gdyby przypadkiem znalezionym był na hippodromie, toby go wymiatacze wraz ze śmieciem wymietli. W tej jednakże chwili ściągał on na siebie oczy całego tłumu. Nikt na posągi, obeliski, pałace, kościoły nie spoglądał, tylko na szubienicę i powróż, i w całej ciżbie, jedni tylko wędrowcy nasi odrywali od nich oczy i bładzili niemi po placu. Tak to nieraz chwila podnosi wartość najprostszej, najbardziej pogardzonej rzeczy. Żaden posąg, żadne widowisko nie ściągnęły na siebie zaszczytu takiego zbiegowiska i takiego powszechnego zajęcia, jak te dwa słupy z belką i ten konopiany sznurek.

Wkrótce po przybyciu wędrowców naszych na plac, w ciżbie dał się czuć ruch i dał się słyszeć wrzask. Jakby nowy jakiś tłum cisnął się do środka i rozpychał gwałtownie ten, który dawniej wypełniał hippodrom. Ludzie wspinali się na palcach, włączili jedni drugim na barki. Wszystkie okna i dachy, otaczających plac pałaców, wypełnione były ciekawymi. Widać ich było i na piedestałach pomników,

obejmujących ramionami marmury i brązy, i pochylonych ciałami w stronę, gdzie się odbywał ruch. Uwaga powszechna oderwała się od powroza, ale nie na długo. Ruch bowiem zatrzymał się u stóp szubienicy; ciżba ścisnęła się mocniej. wrzask ustał, zgiełk ucichł,—i raptem zrobiło się cicho, tak cicho, że ludzie nawet oddech zatamowali, tylko jakiś głuchy pomruk, zmieszany z pojedynczego płaczu czy próby—łkaniem i z kilkunastu groźnych głosów—chórem, rozlegał się w powietrzu.

— Drabiny!... — krzyknięto od szubienicy.

— Drabiny!... — powtórzono chórem.

Chór ten zmienił się w wycie tłumu, który z niecierpliwością, rozmaitemi tonami, a jednym głosem, wołał:

— Drabiny!...

— To doskonale... — odezwał się ktoś w pobliżu naszych wędrowców — postawiono szubienicę, a zapomniano o drabinie.,,

— Jest ona, tylko przydeptana i może nieco odwleczona na stronę.. — odpowiedział ktoś inny.

Jakoż wkrótce, po nad głowami tłumu, w odległości kilkadziesiąt od szubie.

nicy kroków, podniesiona do góry, pokazała się drabina. Zbliżała się ona szybko, podawana z rąk do rąk, i wkrótce wzniosła się, oparta o belkę. Na niej ukazało się kilku ludzi, zadyszanych, z zatoczonemi do ramion rękawami. Pod nią ukazał się jeden człowiek, podnoszony na rękach do góry, ku poprzecznej belce, ku powrozwowi.

— Wyżej!... — wołali ludzie z drabiny.

Pod drabiną ręce coraz się wyciągały i coraz wyżej wysuwał się człowiek, który pochylał głowę na dół i kurczył się ciałem, unikając wyraźnie zbliżenia się do powroza.

W tłumie zapanowała głęboka cisza. Człowiek podnoszony wyglądał staro. Siwe miał włosy i siwą brodę. Twarz jego była blada. Ręce miał związane na plecach. Postać jego okrywał purpurowy, podbity drogiem futrem płaszcz.

— Kogoś wieszają... — szepnął Piotr.

— Nie potrzebnie przyszliśmy na hipodrom... — odszepnął Asan, tonem niechęci.

— To jakaś znakomitość... ale jaka?... — dodał Piotr — Któżto nosić może purpurowy płaszcz?...

Po chwili ludzie z drabiny wyciągnęli ku podnoszonemu człowiekowi w purpurze ramiona, ujęli go za odzież, za włosy i za brodę, i pociągnęli ku sobie. Człowiek w purpurze coś mówił, głośno wzdychał i jęczał, ale oni mu nie odpowiadali. Jeden z nich obwinał mu i zawiązał powróż około szyi.

— Puszczaj!... — odezwał się okrzyk.

W tej chwili ramiona, które z ziemi podnosiły człowieka w purpurze, opadły, ludzie z drabiny zeskoczyli, powróż się natężył i starzec zawisł.

Tłum wlepił w starca oczy. Ten chwiał się w powietrzu, drgał ciałem i machał nogami, jakby szukając niemi punktu oparcia. Lecz oparcia nie było, bo ziemia była daleko, i słupy daleko, i drabina została ściągnięta. On samotny wisiał nad tłumem i chwiał się wśród pomników wielkości i sławy, które stały cicho i nieruchomie, a w ciszbie takie przez chwilę panowało milczenie, że słyhać było skrzyp poprzecznej belki.

Raptem krzyknięto:

-- Niech żyje Andronik pierwszy!...

Na ten okrzyk odpowiedział z razu śmiech głośny a huczny, po którym natychmiast zagrzmiało:

— Niech żyje Andronik pierwszy!...

— Czego to się śmieją?... co to krzyczą?... — zapytał Asan.

— Krzyczą: niech żyje Andronik pierwszy!... śmieją się—nie wiem czego...— odparł Piotr — Może to August ukarał śmiercią jakiego z tajemnych spółzawodników swoich... Bo któżby to mógł być w purpurze!... Ale dlaczegoż na miejsce kary wybrał hippodrom!... W tem jest coś dziwnego i niepojętego...

A okrzyki ciągle brzmiały, śmiechy ciągle huczały.

Wśród okrzyków na cześć Andronika dawało się także słyszeć:

— Niech żyje Izaak drugi!...

To ostatnie jeszcze bardziej zachwiało domyślność Piotra. Dowiedział się tylko, że bez rozpytania, się o niczem nie może wiedzieć. Więc począł zaczepiać pytaniami to tego, to owego, ale długo nie mógł dobrać pytania, na które otrzymałby zrozumiałą odpowiedź. Tak wszyscy zajęci byli konającym na powrozie starcem, okrzykami i powszechną radością, że albo nie słyszeli, albo nie odpowiadali, albo odpowiadali niewiedzieć co. Aż nakoniec natrafił na swego. Był nim jakiś obdarty, który podskakiwał na miejscu, wywi-

jał w górze ręką i krzyczał na całe gardło, to na cześć Andronika I., to na cześć Izaaka II., a radość jego była bez granic.

— Czego się tak cieszysz?... — zapytał go Piotr.

— Głupichłopczel!... barbarzyńczel!... — odparł obdartus, biorąc się w boki i mierząc Piotra wzrokiem od stóp do głowy — Czyż nie wiesz, że mamy teraz nad sobą dwóch Augustów: jednego na tronie, drugiego na szubienicy!...

I pokazał na szubienicę palcem.

— Któż to na szubienicy?...

— August, głupcze!... Nie widzisz purpury!... Wybałusz ślepie!... Cha, cha, cha!... Niech żyje Andronik pierwszy!...

A szarpiąc Piotra za siermięgę, wołał:

— No, krzycz!... Niech żyje Andronik, August!...

Piotr powtórzył za nim okrzyk, chcąc pozyskać jego względy i wyciągnąć go na słowa.

— Któż to kazał postawić szubienicę na hippodromie?... czy August?...

— Oho!... nie!... o!... nie!... Nikt nie kazał... Lud postawił... Cezarby się nie

odważył postawić szubienicę na hippodromie!... Lud odważył się postawić ją dla cezara!... Bo jakżeby August mógł wisieć gdzieindziej!...

— Któż to wisi?... — nacierał Piotr.

— Czyż nie widzisz purpury!... Cezar!... August!... imperator!... Krzycz: niech żyje Izaak drugi!...

Piotr krzyknął, dogadzając gadatliwemu obdartusowi. Nie mógł jeszcze jednakże zdać sobie dokładnej z wypadku sprawy. Wiedział już, że chodzi tu o Izaaka Anioła, wiedział także, że głos publiczny ukazywał na niego jako na spółzawodnika do tronu, a przynajmniej jako na spadkobiercę Andronika; ale wiedział również, że Andronik żył i panował; słyszał okrzyki na jego cześć, słyszał jednakże także okrzyki i na cześć Izaaka, o którym wiedział, że jest młodym człowiekiem, a zatem nie może być tym, co wisi. Któż to wisi? — było dla niego zapytaniem nierozwiązanem.

— Któż to wisi?... — zapytał znów obdartusa.

— Ach, ty, okrutnie głupi barbarzyńcze!... — zawołał zapytany — Któż na

hippodromie, i do tego w purpurze, wisieć może?...

Piotr wzruszył ramionami, i odparł zapytaniem:

— Kto?...

— Ani ja. ani ty... Wszak tak?... Ani prefekt pretorjum, ani kwestor, ani magister, ani żaden patrycjusz... Czy nie tak?... Nas powieszonoby tam gdzie psy biją; dygnitarzy i patrycjuszów wieszają na bramach stolicy.. Więc August tylko, głupsze, sam August, może tu wisieć.

— Jaki?... zagadnął Piotr.

— Grecki... rzymski...

— Który?

— Ten, co chciał powiesić tego, co siedzi na tronie...

— Na tronie siedzi Andronik...

— Nieprawda!... nieprawda!... — krzyczał obdartus.

— Ależ wczoraj jeszcze siedział..

— To mu bynajmniej nie przeszkadza dziś wisieć... — podchwycił obdartus.

— Więc to Andronik pierwszy! — zawołał Piotr zdumiony, wyciągając rękę ku szubienicy, na której właśnie tylko co skonał starzec w purpurze.

— A!... przecie!... domyśliłeś się!... On sam w swojej własnej osobie...

I zaśmiał się obdartus, i krzyknął z całej siły:

— Niech żyją dwaj Augusty: jeden na szubienicy, drugi na tronie!...

Tłum podchwycił ten okrzyk, i powtórzył go grzmotnym chórem.

— To Andronik pierwszy Komnen... — rzekł Piotr do brata, ukazując na martwe, chwiejące się na powrozie ciało.

Asan uśmiechnął się; lecz natychmiast sposepniał, skrzyżował ręce na piersiach, pokiwał głową i powiedział:

— Pierwszy raz w życiu widziałem Augusta... Pięknie mi się przedstawił!...

I dodał:

— Szkoda jednakże Andronika...

— Co też ty mówisz!... — podchwycił Piotr — on był taki okrutny...

— To lepiej, niż gdyby był łagodny... — odrzekł Asan — jego okrucieństwo wyrabiało w nas jedną cnotę narodową — nienawiść do Grecji... Biada nam, jeżeli następca jego będzie łagodny... Kto jego następcą?...

— Zdaje się, że Izaak drugi, Anioł...

— Ten jest młody?...

— Młody... — odparł Piotr.

Asan westchnął.

Tym tymczasem począł się rozchodzić. Na hippodromie robiło się coraz przestronniej. Wraz z pierwszymi, którzy odchodzili, opuścili plac i wędrowcy nasi, i udali się pomiędzy Bulgarów, zamieszkujących stolicę, pomiędzy którymi mieli znajomych i krewniaków.

V.

Ludność Konstantynopola przed sześciu wiekami była jak dziś różnorodną. Brakowało jej jeszcze Turków, bo zresztą, zwabieni samem położeniem stolicy wschodniego cesarstwa, ściągali ludzie z rozmaitych stron świata, a krzyżowe wyprawy płaciły jej ze swojej strony przyczynę zaludnienia. Na ulicach więc grodu Konstantyna krążyli i Anglicy, i Francuzi, i Niemcy, i Hiszpanie. Handel ściągał Ormian i Żydów, i mieszkańców Azji i Afryki. Amerykanów nie było, bo Krzysztof Kolumb urodził się dopiero w dwieście pięćdziesiąt sześć lat po epoce naszej powieści. O Włochach nie wspominam, dlatego że współziomkowie Kolumba trzymali podówczas Galatę, którą zakolonizowali i ufortyfikowali po drugiej stronie zatoki, podmywającej Konstantynopol od północy; byli więc ze stolicą w codziennych stosunkach i posiadali w niej biura, kantory, sklepy i magazyny. Dominującą jednak-

że rolę odgrywali Grecy, jako miejscowi panowie i gospodarze.

W wyliczeniu tem ludności nie wymieniłem Słowian w ogólności, a w szczególności Bulgarów. Zrobiłem to umyślnie, dlatego, aby im więcej nieco, jak kilka wyrazów, wspominku poświęcić.

Dziś, w dzisiejszym Konstantynopolu, gdyby, skutkiem jakiego wynalazku, można było rozebrać chemicznie, rozpoznać, rozgatunkować krew ludzką pod względem narodowego pochodzenia, to z pewnością twierdzić można, że okazałoby się, iż na dziesięciu czystych Greków, dziewięciu, a przynajmniej ośmiu jest czysto słowiańskiego pochodzenia. Cóż dopiero być musiało w owych czasach!... Można wnioskować, że ludność słowiańska, szczególnie w niższych warstwach społecznych, stanowczo przemagała... Grecy pływali po wierzchu, ona była spodem. Grecy gospodarowali, Słowianie pracowali. A że słowianizm był zabroniony, jak obecnie np. po niektórych miastach polonizm, przeto zatajali oni duch w sobie i udawali Greków. Nie dawali się rozpoznać od pierwszego okarżutu; ubierali się po grecku, mówili po grecku; ale po obyciu się i oswojeniu z różnemi narodowościami można było palcami

ich namacać, i pomiędzy tysiącami Słowianina poznać, po ruchach ciała, po akcencie mowy, po wyrazie oblicza.

Pomiędzy Słowianami, z powodu bliskości ich od stolicy, najwięcej było mieszkańców Tracji i Macedonji. Nie brakło jednakże Serbów i Chorwatów i Bośniaków i innych, nawet pojedynczych Polaków, Czechów i Morawczyków. Więcej od tych ostatnich, ale mniej stosunkowo od Traków i Macedończyków, znajdowało się Bulgarów. Mniej w warstwach niższych, ale za to najwięcej w wyższej, w której formowali oni pewien rodzaj kolonji, albo raczej oddzielnego towarzystwa, assymilowanego legalnie z greckim, a jednakże wyróżniającego się osobnym jakimś charakterem. Związek tego towarzystwa stanowiły obdarzone patrycjatem familje. Domy takich Komitopulów i Sur-suwułów, ich pokrewnych i koligatów, wyprowadzające się od dawnych królów, wojewodów i dygnitarzy bulgarskich, gromadziły około siebie inne, aspirujące do szczytnego położenia w oficjalnym świecie. Brały one żywy udział we wszystkich fazach oficjalnego życia; intrygi dworskie i zmiany polityczne, parujące się zwykle w takich rządach, jak cesarstwa wschod

niego, interesowały je jak najprawdziwszych Greków; łaski i niełaski obchodziły je, jak najwierniejszych poddanych; pomimo to jednakże Grecy przez ramię na nich spoglądali, jak na intruzów, jak na obcych, jak na członków podbitego i zabranego narodu. A chociaż o niejednym z Bulgarów można było to samo powiedzieć, co nieboszczyk Mikołaj I, cesarz rosyjski, wyrzekł o Henryku hrabi Rzewuskim: „*il est plus russe que moi, plus catholique que le pape et plus royaliste que le roi de Prusse*“, z tem wszystkiem Grecy nie mogli im ich bułgarskiego przebaczyć pochodzenia. Cisnął się Bułgar do urzędów lub dworu, to mu wypominali jego ojczyznę, którą poniewierał w greckiej liberji; otrzymał urząd lub dobił się łaski i uszczęśliwiony, wdzięczny, myślał tylko o skarbnieniu względów zdobywcy, to szeptali do koła niego, że jest wilkiem w baraniej skórze, że go natura pociągnie na drogę przeciwną interesom cesarstwa. Dygnitarze i urzędnicy bułgarskiego pochodzenia, nosili niejako na czołach swoich piętno ojczyzny, które i Grecy palcami wytykali. Ich pozycja była poniżająca, upokarzająca. Przestali być Bułgarami, a nie stali się Grekami. Musieli wiele znosić, przeżywać

wiele obelg, czołgać się, jak płazy, zapierać się co krok i co chwila narodowych uczuć, widoków, nadziei i obowiązków, i przechodzić prawdziwie cierniową drogę, aby pozyskać jakiś trochę widniejszy stopień lub łaskawy uśmiech Augusta. Jest jednakże pewien gatunek odwagi, która ludzi wciąga na tę drogę. Naturalniejszem zdawało się służyć ojczyźnie i znośniejszem, bo zaszczytniejszem poświęcić dla niej mienie i życie; nie — oni woleli służyć wrogowi, zachować życie i mienie. Dziwnemi są serca ludzkie, dziwniejszemi jeszcze głowy, a co najdziwniejszem, że przytrafiały się one najczęściej u ludzi, których rody przez ojczyznę majątkami i dostojenstwami były udobrodziejstwowane!... Potomkowie plwali na pamięć przodków i służyli wrogom..

Takiem było wybrane grono. w którym ogniskowało się towarzyskie życie zamieszkałych w Konstantynopolu Bułgarów. Składało się ono u swego szczytu z jednego ekskwestora, z dwóch senatorów i z jednego szambelana, ludzi niemłodych, pożenionych i otoczonych rodzinami. Żyli oni w najwyższych sferach, na dworze i pokojach najwyższych dostojników, przyjmowani wszędzie i przyjmujący wszystkich,

którzy rodem, fortuną lub godnością stali z nimi na równi, a nadto tulili pod swoje skrzydła tych, co jedną z nimi podążali drogą. Ekskwestor był pomiędzy nimi najpoważniejszym i najuczynliwszym. Syt dostojęństw, wypoczywał po trudach i rad udzielał się innym. Pod jego protekcję udawali się zwykle młodzi, wysokich rodów Bułgarzy, szukający kariery. Nazywano go patryarchą, a dom jego ogniskiem. Kolegował on jeszcze z Radomirem Sursuwłą i połączony był z tym ostatnim dalekim związkiem koligacyjnym, ale bliższym ścisłej przyjaźni. Nie posiadał on nigdy takiego, jak ten ostatni zaufania u Emanuela, ale nie wypadł z jego łaski, służył mu długo i złożył urząd na własne żądanie, dając za powód starość i stargane siły. Od dziesięciu już lat znajdował się w tym stanie spoczynku, poważany powszechnie, nawet przez Greków, szczególnie od chwili złożenia urzędu. Bardzo również poważanym, ale najmniej uczynnym był szambelan, młodszy od ekskwestora i co do wieku i co do daty wystąpienia na dworze. Z tego zapewne powodu wielką wagę przywiązywał do swego urzędu i do etykiety dworskiej. Ta ostatnia miała dla niego jakieś mistyczne, wzbu-

dzające głęboki szacunek znaczenie. Znał też ją na palcach, wiedział, jak kiedy stąpić, jak spojrzeć, co czynić w czasie uroczystości, wystąpień, posłuchań, w prywatnych i publicznych z ludźmi stosunkach etc. Szambelan był blizkim bardzo krewnym naszych wędrowców, rodzonym bratem ich matki. Dodać należy, że o ile mało uczynnym okazywał się on dla obcych, o tyle dbał o splendor własnej rodziny. O senatorach nie mówię. Oni trzymali środek pomiędzy ekskwestorem i szambelanem.

W czterech tych domach ześrodkowywało się życie konstantynopolsko-bulgarskiego towarzystwa. Stanowiły one pewien rodzaj szkoły świata. W nich nabierano manier i dobrego tonu. Młodzież bulgarska schodziła się na wieczory, tłumniej do ekskwestora i senatorów, mniej licznie do szambelana, i słuchała rozmów poważnych, których treścią bywały: nauki, literatura, historia, polityka, wypadki dworskie, etc. A że towarzystwa te, dla zachowania bezpartyjności, liczyły zawsze na łonie swoim kilku albo kilkunastu Greków, przeto treść rozmów nie wychodziła nigdy prawie z obrębu rzeczy i spraw greckich. Grecy sami wspominali niekiedy o Bułgarji i Buł-

garach, dla politowania się nad niemi, dla rzucenia im tej jałmużny spólcucia, tej sympatji nieprzyjacielskiej, co to daje się dlatego, aby pokonanym przypomnieć pęta. Tak Rosjanie litują się obecnie na nami, tak sympatyzują z naszą sprawą. Grecy mawiali:

— Powinn'byśmy poznać się bliżej, ze spółobywatelić językiem i zwyczajami...

Bułgarzy uznawali tę myśl i niektórzy brali się serjo do urzeczywistnienia jej. Nieznaniem jednakże było jeszcze podówczas dziennikarstwo, na polu którego mogliby oni swoje narodowe z greckimi bratać ideje. Pomimo więc usiłowań, nie mogli w Konstantynopolu pseudo-polityczno-narodowo-literackiego założyć ogniska. Ognisko jednakże towarzyskie istniało, a w niem wystąpili nasi: Piotr i Asan.

Oczywiście, że pierwsze ich wystąpienie odbyć się musiało w domu najbliższego im szambelana, rodzzonego ich wuja.

Szambelan przyjął ich z otwartemi ramiony, pomimo że wielce zgorszył się strojem ich podcóżnym i sposobem, w jaki odbyli wędrowkę, a zgorszył się dotego stopnia, że póki się nie przebrali, póty nie chciał z nimi gadać, ani nawet witać się. Udzielił im powitania nie pierwej, aż ujrzał ich w tunikach nowomodnych. Nastąpiło to na

trzeci dzień po opisanym w poprzednim rozdziale wypadku.

— Jakże się macie, synowie mojej siostry!... — zawołał! — Witam was, i mocno cieszę się waszem przybyciem.... Jakże się ma brat wasz, Jan?...

Piotr odpowiedział wujowi na powitanie. Lecz i Asan nie ociągał się, i on w tym modnym stroju, zdawało się, że innym stał się człowiekiem. Z oblicza jego znikły smutek i zaszępienie, a na ich miejscu osiadł uśmiech dobrego tonu. Wuj obejrzał ich od stóp do głowy.

— Doskonale — rzekł — wyglądacie.. Trochęście ogorzali i ręce wam zgrubiały ale to się naprawi. Zresztą macie ruchy i miny młodych ludzi wysokiego rodu, i z góry wieszować wam mogę powodzenia pomiędzy młodzieżą stolicy, a nawet i na dworze..

Szambelan był urzędnikiem dworu Andronika i... Po zajęciu tronu przez Izaaka Anioła, w taki szczególny sposób, w jaki on go zajął, stanowisko jego zdawało się zachwianem. Z tego powodu Piotr się odezwał:

— My zapewne na dworze nie będziemy prezentowani...

— A to dlaczego!... odparł szambelan

— Nie prezentowałbym nikogo, ale moich rodzonych siostrzeńców!...

— Byłeś, wuju szambelanem u Andronika...

— To nic... — przerwał szambelan, domyślając się, co chce siostrzeniec powiedzieć, i dodał z miną nastrojoną tajemniczo:

— Dobry żeglarz umie łódź swoją kierować pomiędzy Scyllą i Charybdą...

Trzeba tylko trochę cierpliwości.. Musicie biegle mówić po grecku, bo do waszego ojca i matki pisałem i zaklinałem ich, aby was przedewszystkiem greckiego języka uczyć kazali...

— Ja mówię, ale Asan zaledwie trochę rozumie... — odrzekł Piotr.

— To źle!... — zawołał szambelan, spoglądając z żalem i politowaniem na Asana — źle!... Czemużeś się nie nauczył?...

— Bom nie chciałem... — odpowiedział zapytany tonem lekceważenia. — Bo od dzieciństwa nienawidziłem Greków, ich rządów, i ich języka...

Szambelan drgnął całym ciałem, jakby niespodzianie na węża nastąpił.

— Otóż to skutki tej nieszczęśliwej patriotomanji!... — rzekł z akcentem gorzkiej wymówki. — Nie możesz być prezentowany na dworze...

— A nie możnaby, abym odegrał rolę niemego... — odezwał się Asan z uśmiechem.

Uśmiechnął się i Piotr, rad wesołości brata, ale szambelan sposepniał, zchmurzył czoło, zgorszony żartowaniem siostrzeńca z tego, co mu się bardzo ważnem i niesłychanie poważnem wydawało. Zdawało mu się, jakby usłyszał bluźnierstwo.

— Nie, ty nie możesz być prezentowany... — rzekł po chwili milczenia, tonem takim jak kapłan, odmawiający grzesznikowi przystąpienia do stółu Pańskiego. Uważał się on bowiem za kapłana etykiety; ołtarzem dla niego był tron Augusta.

Tak tedy Asan odsunięty został od razu, albo raczej sam się odsunął od zaszczytów i stracił łaskę wuja, który go już tylko cierpiał. Los jego chciał podzielić i Piotr, ale on mu sam wyperswadował:

— Idź... — mówił. — Przypatrz się wszystkiemu i opowiedz mi o wszystkim. Ja z mojej strony będę się przypatrywał i tobie opowiadał... Czterma oczami zobaczymy więcej, niż dwoma... Wprawdzie czterma uszami moglibyśmy także więcej usłyszeć, ale, cóż poradzić... Zastąp mnie słuchem; może też potrafię zastąpić ciebie w czem wzrokiem...

Drugie wystąpienie naszych braci odbyło się u kwestora. Ten przyjął ich bardzo serdecznie, serdeczniej jak wszystkich innych, a powodem takiego przyjęcia była ta okoliczność, że Asan był narzeczoną Marji, córki Radomira Sursuwuły. O tej okoliczności napiszę obszerniej na swoim miejscu. Tu dość o niej wspomnieć.

— Więc przybyłeś tedy, przyszedł zięciu mego najlepszemu przyjacielu... — rzekł dygnitarz, gdy mu się Asan przedstawił — Myślałem o tobie często... Myślałem o tem, żeby ci otworzyć wstęp do dworu... Teraz to jest trochę trudnem... Nowy i młody August niewiadomo jeszcze, jak się urządzi, a chociaż go znamy, to trzeba poczekać...

— Dziękuję wam, panie, za troskliwość, — odparł Asan — Nie mam zamiaru dobić się dworskich zaszczytów...

— Jaktó!.. — przerwał starzec. — Taki młody! Takiego rodu.. Nam starym wolno spoczywać, ale wam młodym nie godzi się unikać kariery, szczególnie jeżeli ta stoi przed wami otworem.... Kto wie, jaka ciebie czeka przyszłość. Może będziesz szczęśliwszym od Radomira...

— Jakaby mnie przyszłość nie czekała, nie mogę się o nią ubiegać na dworze Augustów, bom się do takiej nie przyspo-

sobił... Nie umiem po grecku...

— Nie umiesz!.. — zawołał ekskwestor ze zdziwieniem — Cóż zamierzasz począć?... Trzeba się natychmiast nauczyć...

— Chętniebym się nauczył, gdyby mowa grecka nie była mową wrogów mojej ojczyzny, gdyby Bułgarja była wolną i niepodległą...

Te słowa zrobiły na ekskwestorze takie wrażenie, jak na szambelanie żart z etykiety dworskiej. Starzec z głęboką litością spojrział na młodego swego interlokutora, powiedział, kiwając głową:

— Co się tobie marzy!... Widać, że przybywasz z głuchego ustronia... Ale takich szaleństw pewno w ciebie Radomir nie wpoił.: Radzę ci nie odzywać się z takimi rzeczami w Konstantynopolu...

— Tu są przecie Bułgarzy... — wtrącił Asan niby od niechcienia.

— Są, ale lojalni i wierni poddani Augusta... — odparł stary dygnitarz z powagą i podniósł dumnie głowę, urażony nieco tonem od niechcienia młodego człowieka, nie piastującego żadnej godności.

Od tych dwóch rozmów, od których zależała jego karjera, zmienił Asan ton; nie wyjeżdżał już ani z ojczyzną, ani z nieprzyjaźnią do Greków; nie mógł jednakże odzy-

skac utraconych bezpowrotnie względów wuja i ekskwestora. Prawdę powiedziawszy nie starał się już on o nie bynajmniej, ale cały poświęcił się badaniu mechanizmu cesarstwa, w czem ogromną pomocą służył mu Piotr. Dwaj bracia dopełniali się wzajemnie i jeden drugiemu udzielali postrzeżeń, czynionych w dwóch szczególnie sferach: w sferze administracyjnej i w sferze wojskowej. Pierwszą zajął się Piotr, drugą Asan. Nie były im one obcemi. Potrzebowali oni wykończyć tylko w umysłach swoich obrazy, które w nich już oddawna były naszkicowane, potrzebowali naocznym, że tak się wyrażę, sposobem stwierdzić to, co od dzieciństwa było im znane. Piotra bowiem oddawna żywo interesowała mechaniczna struktura państw, organizm narodów, w które lubił wglądać i jako amator, i jako dziecko pogwałconej ojczyzny; Asana zaś interesowała wojna, w którą także wglądał podwójnem okiem amatora i dziecka pogwałconej ojczyzny. Wreszcie obudziło się w nich to, co nazywają powszechnie: powołaniem. Jeden i drugi kochali piękno, dla tego, że z ich powołaniami łączyły się ściśle strony piękna, których, gdyby nie czuli to te ich powołania zeszyłyby na rzemiosłową podrzędność, wyrabiającą się długo-

letnią praktyką, nawykiem, wprawą, wyra-
biającemi ludzi tylko biegłych, ale nie wię-
cej, w swoich zawodach. Powołani szybko
kończą nauki. Czego oni w godzinę, tego
rutyniści dziesiątkami lat nie nabędą. Oni
rutynie nowe drogi odkrywają. Bracia więc
nasi korzystali z czynionych przez siebie
postrzeżeń. A że się kochali wzajemnie,
więc z czem zaznajamiał się jeden, stawało
się nieobcym dla drugiego. A że przytem
poznali oni swój kraj, swój lud, potrzeby
swojej ojczyzny, więc dla zdobytych i zdo-
bywanych wiadomości mieli grunt, wła-
ściwą rolę, na której zasiewały się one na
plon i pożytek.

Piotrowi i Asanowi, w ich zdobyw-
czych na polu wiedzy zamysłach, posłużyły
owoczesne okoliczności.

Pierwej jednakże powiedzieć należy,
że zabrali oni znajomość z całym bulgar-
skiem w Konstantynopolu towarzystwem.
Wystąpiwszy w świat pod skrzydłem ta-
kich, jak ekskwestor i szambelan powag,
znaleźli dla siebie wszędzie wstęp szeroko
otwarty, a nie tylko wstęp, ale nawet usłu-
żność, gotową wszędzie ich prowadzić i wszy-
stko dla nich, w miarę własnej możności,
zrobić. Mniejsi urzędnicy radzi polecali ich
większym, a uboższe rodziny bogatszym, a

to dlatego, że z nimi same wyższe przestępywały progi, że każdemu pochlebiało odegrać rolę *quasi* protektora siostrzeńców szambelana i protegowanych ekskwestora. Z usłużności tej Piotr korzystał szeroko, Asan bardzo oszczędnie. Ten ostatni był dla każdego grzecznym, ale wymawiał się od prezentacji na wielkim świecie, a szczególnie od wizyt u znakomitości greckich, tłumacząc się niemożnością porozumienia się z niemi.

— To ucz się po grecku... — mówiono mu. — Trochę już rozumiesz; możesz czytać, weź więc tylko guwernera i nabierz wprawy w mówieniu... To ci przyjdzie z łatwością...

— I!... — odpowiedział Asan, kiwając od niechcienia ręką. — Nie mam zamiaru nigdy się z Grekami ustnie porozumiewać. A jeżeli, by mi przyszła kiedy ochota oddać się naukom, to mi ta znajomość ich języka, jaką mam, aż nadto wystarczy.. Ale do tego zapewne nie przyjdzie, a popisywać się wymową w towarzystwach greckich nie myślę.

— Ależ dla kariery, dla pokierowania się w świecie grecki język jest niezbędnym... — robiono mu uwagę.

— Dla kariery?!... dla pokierowania — mówił tonem na poły zdziwionym, na poły pytającym, jakby tych wyrazów nie rozumiał.

Tego rodzaju odpowiedzi wprawiły go w podejrzenie o ambicję, większą jak zwyczajna, bo okrytą płaszczem pogardy.

— Dla niego — powiadał — szambelaństwo, krajczostwo, łowczowstwo, kwestorstwo, hetmaństwo, wydają się małemi, niedostojnemi jego osoby. Onby chciał być chyba *augustissimus*. Duma jego jest wielka...

I rzeczywiście, duma jego była wielką wobec wymuskanych i płaszczących się dworaków i urzędników, w obec Bulgarów, którzy, zapomniawszy o dostojności narodem, gonili za względami zdobywcy i stroili się w obce tytuły. Opierała się ona na bezwzględnem poświęceniu się za ojczyznę. On, bez tytułu i urzędu, czuł się wyższym, godniejszym, dostojniejszym od wszystkich razem dostojników — kwestorów, szambelanów — od samego nawet Augusta. On kochał. A że wszelka miłość padać musi na jakiś określony i wyraźny przedmiot, wzbudzający w innych przyjaźń, obojętność lub nieprzyjaźń, albo też miłość, obojętność lub nienawiść, przeto sprzyja się tym i kocha się tych, którzy ukochanemu przedmiotowi sprzyjają i kochają go, dla obojętnych jest się obojętnym, niesprzyjającym — nie sprzyja, nienawidzących —

nienawidzi. Taką jest logika uczuć. Asan kochał ojczyznę. Spółziomkowie jego, noszący na grzbiecie liberję Augusta i przeważni obcemi tytułami, nie sprzyjali jej; więc i on im nie sprzyjał. Grecy nienawidzili jej; więc i on ich nienawidził. Jego uczucia przykutemi były do ojczyzny węzłem silniejszym nad wszelkie względy światowe, nad wszelkie stosunki rodzinne, i dlatego nieprzyjaźń jego i nienawiść nie przypuszczaly chrześcijańskiego przebaczenia wrogom. Bo wrogowie ci nie byli jego osobistymi wrogami. Nie mógł, nie miał prawa przebaczać im: bo wrogowie ci byli wrogami Bułgarji. Nie mógł, nie miał prawa przebaczać im: bo zanim godziłoby się o przebaczeniu pomyśleć, należało pierwej naprawić krzywdę i sprostować niesprawiedliwość, których naprawieniu i sprostowaniu przeszkadzali; Bułgarzy, urzędnicy greccy, Grecy, zdobywcy Bułgarji! Więc trzeba było usunąć tych, co przeszkadzali. Więc trzeba było: albo prosić ich pokornie i uniżenie, na kolanach i ze złożonemi dłońmi: „ustąpcie... pozwólcie biednej ojczyźnie mojej być niepodległą... naprawcie zadaną jej krzywdę, sprostujcie popełnioną względem niej niesprawiedliwość...“; albo — wypędzić ich, wymieść, jak śmiecie z czystego

podwórza. Więc dwie były drogi: droga prośby i droga walki. Asan nie wybrał pierwszej, i nie dziwimy się mu: była ona bowiem niepodobną. Ci, co Bulgarję zabrali, zabrali nie na to, aby oddać ją na jakąś tam prośbę. Ci, co uznali zabór przez samo przywdzianie jemu szat i stanięcie w jego obozie, pod jego sztandarem, uznali nie na to, aby poświęcić się za ojczyznę. Jednych i drugich trzeba było wypędzić, zjednymi i z drugimi trzeba mu było walczyć i do walki uzbroić się całą, najwięcej spotęgowaną nieprzyjaźnią i nienawiścią. Po wybiciu się dopiero na niepodległość, po postawieniu się względem dawnych wrogów w normalnem człowieka na ziemi położeniu, mógł Asan im przebaczyć, wyciągnąć do nich rękę, nazwać ich braćmi i bliźniami.

Nie dziwmy się przeto wielkiej dumie Asana, nie posądzajmy jej o niechrześcijańskość. Ludzkie i ziemskie rzeczy, ludzkimi i ziemskimi przeprowadzać należy środkami, które Stwórca oddał pod rozporządzenie woli i rozumu człowieka. Jeżeli chodzi o odparcie napastnika, niosącego niesprawiedliwość, wywracającego moralność, to go trzeba odeprzeć tak silnie i gwałtownie, z jaką on siłą i gwałtownością na-

pastuje. A jeżeli on spełnił niesprawiedliwość i wywrócił moralność, moralność wcieloną dla nas ludzi w świętą postać ojczyzny, to go trzeba wygnać z całym zapalem nienawiści złego. Tolerowanie złego, słabość, miękkość, pokora, są w tym razie śmiertelnym grzechem.

Takimi były pobudki dumy Asana, jego nieprzyjźni i nienawiści.

Nienawidził złego, bo złe przedstawiało mu się w postaci wszystkiego tego, co przeszkadzało niepodległości Bułgarii. Z tej więc przyczyny postradał od razu względy dygnitarzy i naraził się na niekorzystne dla siebie posądzenia bułgarskiego w Konstantynopolu towarzystwa. Nie mogli oni pojąć, z jakich powodów wysoko urodzony, bogaty i młody człowiek obojętnym być może na migotanie jasności otaczającej tron Augusta. A nikomu nie przychodziło na myśl, że ten August trzymał klucze więzienia, w jakie Grecja zamieniła Bułgarię.

A o ile do Asana okazywano wstręt, o tyle Igniono do Piotra. Jego łagodny charakter, wyrozumiałość, wkraczająca w granice pobłażania, i rezygnacja ujęły wszystkich za serca. Wielu się znalazło, którzy zgodzili się z jego patryjotyzmem. Szambelan wprawdzie nie znajdował tego

patryjotyzmu formalnym, i wolałby, aby siostrzeniec wybił go sobie z głowy i serca, z czem łatwiejby mu przyszło pojąć kombinacje etykiety, ale tolerował to nareszcie, szczególnie gdy Izaak II, przyjmując przedstawionego sobie na uroczystem posłuchaniu Piotra, odezwał się:

— Rad jestem poddanym naszym, Bułgarom; nie pomimo to, że są Bułgarami, ale dlatego właśnie, że są Bułgarami...

Wyrazy te gruchnęły po mieście, jako odpowiedź polityki młodego Augusta względem zdobytych krajów, i tego samego jeszcze dnia wydostały się za mury stolicy i pobiegły po kraju, z ust do ust podawane. Ekskwestor wyprawił natychmiast gońca z listem do Radomira, i pierwszy raz od czasu jak zaczął piastować wysokie urzęda, w zebranem w swoim domu towarzystwie głośno o Bułgarji się odezwał. W stolicy i na prowincji zrobiło się Bułgarom jakoś lżej, chociaż żadna nie nastąpiła rzeczywista ulga. Jaki taki odważał się nawet mówić o Ojczyźnie, a Grecy sarkali na młodego Augusta, utrzymując, że takimi słowami podnieca tylko od dawna już uspięne dążności.

Doświadczony jednakże ekskwestor, uległszy pierwszemu uniesieniu, zamilkł i

nie odzywał się już więcej o Ojczyźnie. Wiedział on bowiem, że słowa bywają często czczym tylko dźwiękiem, wydawanym w celu pocieszenia głupców. Zamknął się więc w powalze dygnitarstwa swego i milczał. To samo uczynili wszyscy wytrawniejsi, a tacy jak szambelan poprzestali na prostem uwielbieniu mądrości i serca cesarza, nie hazardując żadnych aluzji do Bułgarji. To wydało się im bezpieczniejszem i pewniejszym. Na tej drodze nie mogli narazić się na zaprzeczenia ze strony Augusta. Inni wszakże Bułgarzy, młodszy, mniej doświadczony i mniej wytrawni, snuli złote nadzieje i otoczyli Piotra, który stał się powodem pamiętnego wyrzeczenia. Myśl zewspółobywatelenia się z Grekami nabrała większego znaczenia. Sformowało się grono patryjotów, którzy ją otwarcie popierali. Na pochwałę jednakże Piotra powiedzieć należy, że on jej bynajmniej nie popierał: tolerował, zbywał patryjotów ni tem ni owem, bo wiedział, że garnienie się około takiej myśli jest warunkowem zaciąganiem się pod nieprzyjacielskie sztandary, i pracował. Wiedział on, że wszelkie kompromisa zdobywców z podbitymi narodami kończyć się muszą szkodą tych ostatnich. Więc nie łudził

się żadnemi nadziejami.

O A s a n i e nie mam co mówić: on zgrzytnął tylko zębami. zacisnął mocno pięści i westchnął, gdy usłyszał, jakiego przyjęcia brat jego doznał na dworze.

VI.

Okoliczności wybornie służyły braciom naszym w Konstantynopolu. Piotr był rozrywany. Nadarzył się jakby w samą porę z umiarkowanym swoim patryjotyzmem, i nadał słę, jakby umyślnie stworzony był dla młodych panów na naczelnika. Przemówienie zaś Augusta do niego, do niego, nie do kogo innego, było jakby ukazaniem nań przez Opatrzność palcem: „Oto mój wybraniec.” A chociaż przemówienie pozostało bez konsekwencji, nie mniej przeto Piotr, przez całą zimę, pozostał bohaterem towarzystwa. Otoczono go. Pomiedzy mężczyznami miał pochlebców i ślepych wielbicieli. Damy obdarzały go czułemi spojrzzeniami. Szambelan rad był mieć go z sobą w obec publiczności, i kilkakrotnie namawiał siostrzeńca do wliczenia się do przybocznego pocztu Augusta. Lecz Piotr zwlekał ze staraniami o ten zaszczyt, odkładał z jutra do jutra, a to dlatego, że Assen powiedział:

— Idź wszędzie, przypatruj się wszystkiemu, alē żadnego nie przyjmuj zobowiązania.

Z tego sądzić można, że harmonija pomiędzy braćmi najmniejszemu nie uległa naruszeniu.

Lagodny charakter Piotra nie był jednakże słabym. Nie był on zdolny sam początkować, sam pierwszy pójść naprzód po drodze dodatniego, czynnego dobra, ale nie był także zdolnym powlec się za innymi po nieprawych mánowcach. Więc zbywał szambelana ni tem ni owem, a postępował tak, że mu Asan nic nie miał do zarzucenia.

Opowiedziałbym wam o kilku zamiarach romansowych, jakimi nagabywany był Piotr, a jakie tam, gdzie z jednej strony były d a m y, z drugiej kawaler w modzie, nie mogły go ominąć, ale wolę o nich przemilczeć. Pomimo bowiem intryg i plotek pomiędzy białogłowami, nie wiem ilu milionów westchnień w obojej płci, wielu łez i jednej śmierci, nadających się doskonale do romansu, ale te intrygi, plotki, westchnienia, łzy i śmierci miłosne nie wiedzieć po jakiemu wyglądałyby w tej, którą wam opowiadam, powieści, w której bohaterką jest: ojczyzna. Dość,

że je zaznaczę. Wiem o tem, że czynności kobiet wielkiego świata, zwanych w grecko-zaborczym sensie „znakomitemi damami”, są bardzo ciekawe, wielce zabawne i ogromnie gorszące, ale nie przystają do mojej powieści. Może, przy okazji, opowiem je w innej jakiej. Tu poprzestanę tylko na prostej o nich wzmiance, z tym dodatkiem, że były one takimi samemi jak dziś. W ludziach bowiem, wiekami te same powtarzają się cnoty i występki. Pod tym względem prababki dzisiejszych Bułgarów, „znakomite” Bułgarki w Konstantynopolu podobne były do naszych wielkoświatowych „znakomitych” lafirynd. Z promieni ich wzroków, z zarysów ich uśmiechów, z fałdów ich sukien—wiele strzela pokus, wiele dzwoni wabików. Bądź w modzie, miej perspektywę błyszczenia, a otoczą cię swojemi względami. One się same narzucają, jak towar w oknie sklepowem. Takimi były Bułgarki, wplecione w ruch życia wielkiego świata konstantynopolskiego. Przypuściły one ze wszech stron ataki do Piotra. Piotr ataki odparł, i pracował, uczył się, postrzegał, wszystkie zdobycze na polu wiedzy nawijając na kłębuszek potrzeb ojczyzny.

Asan ze swej strony także pracował, uczył się i postrzegał.

Praca tego ostatniego rozpadła się na dwa rodzaje. Jeden był wojskowym, drugi jakimś tajemniczym.

W wojskowym względzie wielkiem dla Asana ułatwieniem stało się wstąpienie na tron Izaaka Anioła. Młodego Augusta pochlebcy nazwali „wojennym cezarem”, i on temu uwierzył, i starał się usprawiedliwić wojenność swoją. Występował zwykle w pełnej zbroi, marzył o wojnach, zwycięztwach, tryumfach, a przygotowując się do takowych, pomnażał armję, ściągał wojska do stolicy i manewrował niemi za murami. Rewje następowały po rewjach, manewra po manewrach, wojska przerabiała, kilkakrotnie powtarzając, całą ówczesną szkołę taktyczną. Stawały do boju, atakowały, broniły się, zakładały i zwijały obozy, odbywały czaty i podjazdy, manewrowały po trudnych przechodach gór, otaczających Konstantynopol, ćwiczyły się w przeprawach przez wąwozy, góry i rzeki bez przeszkód i z przeszkodami, przekraczały przez Bosfor i oblegały Chryzopolis, brały miasto szturmem i odpierały obleżenie, wsiadały na okręta i wylądowywały, robiły doświadczenia z maszynami, słowem odbywały wszystkie ćwiczenia, jakie w owoczesnym stanie sztuki wojskowej zna-

ne i używane były. Ćwiczenia te śle-
dził Asan krok w krok. Ażeby sobie
jeszcze bardziej śledzenie ułatwić, zabrał
ściłą znajomość z kilku setnikami [słowiań-
skiego pochodzenia, których ujął częstun-
kiem. Poił ich cypryjskiem winem, oni go
wszędzie ze sobą oprowadzali i wszystko
mu tłumaczyli, tem chętniej, że udawał, iż
nie a nie rozumie. A on rozumiał. On,
rozpytując się od niechcienia setników, do-
lewając im cypryjskiego, przypatrując się
manewrom i uczestnicząc w nich nawet
niekiedy osobiście, rozwiązywał sobie nas-
tępujące zadanie: czy i jak nieregularnemi
i źle uzbrojonemi tłumami zwyciężyć moż-
na regularne, wyćwiczone, doskonale uz-
brojone greckie wojska?

Zadanie to trudnem było do rozwią-
zania w starożytności, a to z tej głównie
przyczyny, że w starożytności nie robiono
sobie żadnych skrupułów w utrzymywaniu
niemoralnemi pobudkami moralnej siły w
wojsku. Żołnierz zaciągał się do szeregu
dobrowolnie; za wysoki żołd, podniesiony
perspektywą wojny, w której dozwolonym
był jak najobszerniejszy rabunek. Wojsko
więc było stowarzyszeniem, zawiązanym w
celu zdobywania łupów, któremi się dzieliło.
Każdego przeto żołnierza wiązało do szeregów

interes osobisty, który mu kazał pożądać wojny i bić się walecznie! Nie rozumiał on, co to jest Ojczyzna, honor, powinność, tylko rozumiał łup i w nim widział wszystko. Nie trzeba więc było budzić w nim uczuć honoru, powinności, prawdziwych czy fałszywych; potrzeba było zapłacić mu tylko dobrze i obiecać rabunek, i on walczył jak lew, siłę moralną, waleczność, czerpiąc w żądzy zysku i wspierając ją ćwiczeniem i uzbrojeniem.

Dziś samem tylko ćwiczeniem i uzbrojeniem wyręcza się siła moralna. Armje starożytne były potężniejsze, spoistsze i pewniejsze. Dezercji prawie nie znano, chyba w takich razach, jeżeli przeciwnik mógł lepiej płacić. Ale o placeniu, w stosunku takim, w jakim Ojczyzna Asana znajdowała się do Grecji, ani myśleć można było.

Więc poznał Asan, że armja grecka jest potężna i moralnie i fizycznie.

Ale poznał zarazem, że w nieregularnych tłumach, w jakich mu się przedstawiali Bułgarzy, w przypuszczeniu, że porwaliby się na Greków, moralność można rozwinać dwojakiemi pobudkami; i temi, które stanowiły podstawę siły moralnej wojsk Augusta, które spoczywały w idei niepodległości narodowej, brakującej wojskom Augu-

sta. Można więc ją było podnieść do wyższej, niż u Greków potęgi—w pierwszej szczególnie chwili, przy pierwszym okrzyku „do broni!“, który unosi, porywa i rzuca naprzód ludzi, co nigdy w życiu oręża w rękę nie trzymali, i czyni ich niezwycięzonymi.

— Na tę pierwszą chwilę — mówił sobie Asan - byle ją tylko wywołać, sam zapał wystarczy, zastąpi broń i ćwiczenie. Trzeba się jednakże potem spieszyć z uzbrojeniem i wyrobieniem żołnierzy, bo taka chwila, jeżeli zabłyśnie, to trwa bardzo krótko...

Miał rację. W tego bowiem rodzaju porwaniach się nie na długo wystarczy zapału. W tym razie z zapałem narodowym dzieje się to, co z tchem człowieka, idącego szybko na stromą górę. Można wbiedz, ale na szczyt jednym tchem zejść nie można. Trzeba zwolnić chodu, naciągnąć w płuca powietrza i iść powoli, albo wrócić się.

Na tej „pierwszej chwili“ oparł Asan cały swój rachunek, i tak ją sobie przedstawił:

— Nie potrzeba — myśleć o jednorazowym, społecznym w całej, jak ona długa i szeroka, Bułgarii ruchu... To niepodobne... Bo ani go przygotować, ani urządzić pod okiem Greków, ani wywołać można..

Nie potrzeba również wielkich na pierwszy raz tłumów. Trzeba jeden znaleźć punkt i zgromadzić w nim kilkuset gotowych na wszystko ludzi, i w tej jednej miejscowości wywołać tę „pierwszą chwilę” zapалу, która wyrzuci miejscową załogę i ogłosi Bułgarję wolną i niepodległą. Potem, ten jeden punkt należy natychmiast przenieść, i nieustannie przenosić go z miejsca na miejsce. Tym sposobem do pierwotnego zapalu będzie przybywać coraz świeższy, w coraz innych obudzany punktach. Przenosić się potrzeba tak szybko, aby Grekom nie dać zgromadzić się, dla stawienia oporu wielkimi siłami. A jeżeliby się gdzie poniosło klęskę, to to zrażać nie powinno... Powetować ją można w innym miejscu.

Wspomnienie klęski sprowadziło mu do myśli uzbrojenie i wyćwiczenie greckich wojsk, czyniące klęskę wielce prawdopodobną.

— Prawdopodobną jest; to prawda... mówił sobie w duchu—ale tylko prawdopodobną... Bo czemże są uzbrojenie i wyćwiczenie greckiego żołnierza?... Oto dodatkowemi, pomocniczymi atrybucjami, wynalezionemi na to, aby wzmocnić zasadniczą bojową maszynę, którą jest czło-

wiek. Bez tej maszyny, same atrybucje nie nie znaczą. A z tą maszyną znaczą one tyle, ile ona wkłada w nie własnego ducha. Wojsko tedy Augusta stanie przeciwko nam z katapultami, balistami, doskonałym orężem i wyćwiczone, a w ten oręż i w to ćwiczenie będzie wkładało ducha, płynącego z żądy łupów; my zaś staniemy z kijami, widłami i prosto z lasu wyciętymi maczugami, źle uzbrojeni i niećwiczeni, a w naszą złą broń i nasze niećwiczenie, będziemy wkładali ducha, płonącego i z żądy łupów i z idei niepodległości narodowej. Ta ostatnia, idea niepodległości, powinna zrównoważyć siły nasze z grekami, póki i my, przenosząc się i walcząc nieustannie, nie wyrobimy się na żołnierzy i nie zaopatrzymy się w broń, bądź zdobytą na nieprzyjaciela, bądź przysposobioną w oczyszczonych z niego okolicach, bądź sprowadzoną z kądinąd. Ruchy i walki „pierwszej chwili“ dadzą nam ćwiczenie i broń, dadzą wojsko, którem z grekiem bądziemy mogli zmierzyć się wstępny bojem, do którego ruchy owe i walki będą tylko wstępem, tylko przygotowaniem. Chodzi więc tylko o jak najsilniejsze wyteżenie zapalń w tej pierwszej „chwili.“ A przypuszczając, że August zatrudniony

będzie w Azji, albo gdzieindziej, że będzie zajęty wojną, dla której wyciągnie wojska z Bułgarii, to...

Zatrząsał się całym ciałem nasz bohater radością na to ostatnie przypuszczenie, i już nie myślał cicho, ale głośno zawołał:

— To.. biada ci, Grecjo?..

Piotr, będący jedynym świadkiem tego uniesienia się Asana, spojrział na niego ze zdziwieniem i zapytał:

— Co ci jest?...

— Nic... — odparł Asan — Wyrobiłem w sobie to przekonanie, że my, pomimo stu z górą lat niewoli, pomimo demoralizacji naszego ludu, możemy własnymi siłami i środkami wybić się na niepodległość...

— Jak-że to?... — zapytał Piotr z nieowierzaniem.

Asan rozwinął przed bratem myśli swoje, które wyłożyliśmy powyżej i szczególny przycisk położył na pierwszej chwili ruchu.

— Z której — kończył — jeżeli potrafimy skorzystać, której, jeżeli nie zmarujemy gnuśnością, oglądaniem się na jednym miejscu, wyczekiwaniem, albo układami z nieprzyjacielem, to.. wygramy...

— Ależ ta pierwsza chwila!... — rzekł Piotr, tonem powątpiewania...

Asan nic mu nie odpowiedział, tylko się uśmiechał, a w głębi jego uśmiechu przebijała się jakaś tajemnica, której nawet bratu nie chciał wyjawić.

— Lud niechętny jest wojnie... — wtrącił Piotr w sposobie uwagi.. — Sami o tem przekonaliśmy się..

— Nie trzeba go prosić.. — odrzekł Asan — Trzeba go wybawić z jego obojętności... Nasz lud jest zbałamucony; ale niechno tylko poczuje zapach krwi nieprzyjacielskiej, to natychmiast jasno się mu zrobi w oczach...

— To trudno...

— Trudno!.. — przerwał Asan trochę zniecierpiwiony — Ale najlepszym sposobem do tego, aby trudność stała się niepodobieństwem, jest: nic nie robić... Gnijmy sobie w niewoli greckiej — to najłatwiej. Do tego lud jest dostatecznie przysposobiony, z tem się zgadzają Radomiry, kwestorzy i senatorowie...

Piotr nie miał co na to odpowiedzieć: postanowił tylko nieodstępować brata, bo poznał w nim jakieś stałe postanowienie. A pomyślawszy przez chwilę, odezwał się:

— Może-byśmy już wrócili do Tyrnawy...

— Dobrze... — rzekł Asan — tylko

cię jeszcze o kilka dni proszę... Chciałem ci sam już proponować powrót; bo to już i zima minęła; tylko mi jeszcze kilku, może dziesięciu, może piętnastu dni potrzeba.

Piotr nie miał nic przeciwko temu. Zostali.

Na cóż Asanowi tych kilku dni było potrzeba?

Na dobiecie targu z pewnym mnichem, zwanym ojcem Agapijem.

Ciekawy to był targ. -- Szanował on uwieńczenie nowego drugiego rodzaju pracy, któremu Asan oddawał się w tajemnicy. Chodziło o wykradzenie z cerkwi cudownego obrazu świętego Dymitra. Tajemnica przeto była potrzebna. W owych bowiem wiekach, w mieście takim jak Konstantynopol, gdzie tradycje furji ikonoklastów wywoływały żywą adorację obrazów świętych, podobnego rodzaju świętokradztwo uważano za zbrodnię, którejby nawet Augustowi nie przebaczone. Chodził więc Asan długo i zachodził ostrożnie, zanim sobie ojca Agapija wynalazł.

Ojciec Agapij to człowiek średnich lat, dobry kaznodzieja, poważny, i mający reputację świątobliwego: miewał bowiem widzenia, w których mu się to Matka Boska, to śty Dymitr pokazywali i przez jego

usta upominali grzeszników o skruchę i czynienie pokuty. Śty Dymitr pokazywał się dlatego zapewne, że ojciec Agapij był proboszczem w cerkwi, w której obraz świętego cuda czynił. Cuda te były bardzo wyraźne: Święty uzdrawiał chorych i kaleki Niemym mowę, głuchym słuch, ślepym wzrok przywracał, z obłąkanych diabła wypędzał. Ojciec Agapij ukazywał w tem widoczną łaskę boską i grzmiał z ambony przeciwko zgorszeniu. Dodać potrzeba, że cuda rozpoczęły się wraz z objęciem probostwa przez ojca Agapijiego, w czem upatrywano łaskę nieba, spoczywającą na nim i w początkach wielkie one wywierały wrażenie, tak, że aż po całym gruchnęły cesarstwie; ale z czasem oswojono się z niemi. Święty nie przestawał cuda czynić, lecz prawowierni przestali jakoś zbiegać się tłumnie do cerkwi i składać pod obrazem ofiar. Spowszedniały cuda, spowszedniał i ojciec Agapij. W stolicy przestano o nich mówić, i sława ich chodziła już tylko luzem po prowincji, z kąd od czasu do czasu przywożono chorych, kaleki i obłąkanych. Ojciec Agapij odprawiał nad nimi modlitwy i stawiał ich pod cudownym obrazem. Jedni z nich ozdrowiali, drudzy nie. Tym ostatnim tłumaczył świątobliwy ojciec,

że nieoładnionemi są łaski nieba, i oni, zapłaciwszy, co mieli zapłacić za modlitwy, czytanie ewangelji i rąk kładzenie, odjeżdżali lub odchodzili z niczem. I wlekło się to sobie powoli z coraz większym uszczerbkiem skarbonek. Napróżno ojciec Agapij grzmiał na bezbożność i malował straszliwe obrazy piekła wiekuistego. Gdy tak kilka razy postraszył słuchaczy, to poczęto w coraz mniejszej liczbie schodzić się na kazania. Poprawiło się to było raz, gdy obraz świętego Dymitra zapłakał krwawemi łzami. Rozbiegła się wieść po Konstantynopolu:

— Święty Dymitr krwawemi płacze łzami..

I tłumy zbiegły się do cerkwi. Przypatrywano się oczom świętego. I rzeczywiście; oczy ruszały się, zachodziły krwią i spadały z nich krople łez. Ale i to z latami spowszedniało. Święty płakał, a prawowierni robili swoje. I gdyby nie prowincja, na której o tych łzach dziwne rozpowiadano rzeczy, ojciec Agapij musiałby poprzestać na dochodach z samych tylko parafjan.

A ojciec Agapij potrzebował ogromnie dochodów, o czem dowiemy się z następującego zdarzenia:

Przypomina sobie zapewne czytelnik, że naszemu Asanowi, niby jakiś rodzaj *idée fixe*, niby — wyrażając się po naszymu — *ćwiek* we łbie, wbiła się w głowę myśl o śłym Dymitrze. Przyniósł on ją z sobą do Konstantynopola, i gdy znalazł się w stolicy, najpilniejszą dla niego rzeczą było odszukanie obrazu, o którym w Tyrnawie jeszcze wiedział, że cudami sływie. Odszukał go i począł pilnie chodzić do cerkwi. Co dnia, jeżeli nie na mszy, to na nieszporach, można go było tam widzieć, a zawsze przy drzwiach. Słuchał zrazu tylko nauk ojca Agapijiego, klęczał i modlił się, a po niejakiem czasie począł opatrywać cerkiewne zamki, ale tak nieznacznie, że nikt tego dostrzedz nie mógł. Równocześnie przypatrywał się wewnętrznej i zewnętrznej wysokości okien i kratom ich żelaznym. Później nieco stawał przy drzwiach, opierał się o nie bokiem i z pod fałdów kolistego płaszcza, którym z powodu zimna przykrywał tunikę, próbował w zamku kluczków. Próbował u drzwi głównych i tylnych. Po kilku dniach bezowocnych prób, wsunął klucz jeden, pokręcił nim zlekka w jedną i drugą stronę, i powiedział do siebie:

— Ten...

Był to klucz od zakrystji.

I tegoż samego wieczora, po nieszpochach, gdyby zamykający cerkiew zajrzał był w ciemny za filarem ką, ujrzałby tam skulonego człowieka, który przysiadł i dech w sobie zataił. Lecz zakrystjan nie zaglądał; zamknął cerkiew i odszedł. I Asan sam został.

Z początku zrobiło mu się straszno. Pierwszy raz w życiu, sam jeden, w nocy znalazł się pod sklepieniem cerkiewnem. Przed obrazem śtgo Dymitra paliła się lampa, rzucała dokoła siebie blade, wątpliwe światło, które bardziej migotało jak świeciło.

Asanowi było straszno. Był on odważny; ale w owym wieku gorącej wiary i wielkiej przesądności największa odwaga miękła w obec majestatu domu bożego posępnego i cichego w nocy. Siedział więc nasz bohater w kąciku, przykląkł i począł modlić się po cichu. I spoglądał zdaleka na obraz świętego.

Asan przyszedł w celu osobistego sam na sam, porozumienia się z cudotwórcą. Wiedział on do czego zeszli popi pod władaniem greckim, więc nie chciał używać pośrednictwa ojca Agapijego. Chciał sam, na osobności, w ciszy, bez

żadnych pośredników, wymodlić u świętego Dymitra pomoc dla Ojczyzny.

— Może-też — myślał sobie — Święty męczennik natchnie mnie myślą jaką...

Modlił się gorąco i długo. Spoglądał na obraz. Wizerunek świętego, zdawało się, nabierał jakiegoś życia, ruszał się—Asan pochylał się pokłonem do ziemi. Modlitwa dodawała mu odwagi.

Chciał już wstać i podejść do obrazu gdy wtem usłyszał jakieś, jakby stukanie pod podłogą. Pozostał więc na kolanach, przytulił się do filaru i rzucał błędnie po cerkwi oczyma.

Stukanie niedługo trwało. W tem miejscu, gdzie się dało słyszeć — a to było niedaleko od ołtarza — podniósł się zwolna kamień jeden posadzki i stanął prostopadle do poziomu, zostawiając po sobie kwadratowy otwór, podobny do otworu studni. Po chwili dał się słyszeć szelest ruchów ludzkich, i z otworu wyszła najprzód głowa, a potem cała postać człowieka, niosąca w ręku latarkę. Asan zamarł zrazu z przestachu, skamieniał przy kamiennym filarze. Lecz odetchnął i jakoś lżej mu się zrobiło, gdy przy blasku, iaki latarka na cerkiew rzuciła, poznał ojca Agapijego.

Świątobliwy człowiek wyszedłszy z podziemia, zwrócił się ku ołtarzowi, postawił latarkę i, przysunąwszy ruchomą drabinkę do cudownego obrazu, wlał po niej i zdjął obraz. Potem zniósł go na dół i rozebrał z ram. Zwierzchu obmył go wilgotną gąbką, a ze spodu odświeżył pęcherzyki, napelnione czerwonym winem, które przyprawione były za oczami w taki sposób, że, za pociągnięciem nici, przyciskała się deszczulka i przez nakłute szpilką płótno sączyły krople wina. Nici przeciągniętą była z za obrazu, po za ołtarz i koniec jej umieszczonym był tak, że za nastąpieniem nań nogą wykonywał się mechanizm z deszczuleczką i pęcherzykami. Następnie złożył ojciec Agapij wszystko porządnie, opatrzył, spróbował i zawiesił obraz na swoim miejscu.

Asan przypatrywał się temu ze zdumieniem.

Nie koniec na tem. Ojciec Agapij poszedł do zakrystji, zabawił tam z pół godziny i wyszedł ztamtąd całkowicie przeobrażony. Gąsienica zamieniła się w motyla. Ani go poznać było można. Habit i kaptur zamieniły się na tunikę i kołpak, na które zarzucony był krótki płaszcz. Z pod płaszcza wystawał koniec miecza. Włó-

sy innym świeciły kolorem. Wąsy zakręcone były z hiszpańska. Twarz jaśniała młodszą cerą. Wszedł, odemknął skarbonę, wyjął pieniądze, jakicheś kilka niezrozumiałych mruknął pod nosem wyrazów, wzięwszy latarkę, spuścił się w otwór, który za nim zamknął się powoli. Znów w cerkwi niepewnym blaskiem migotała tylko lampa przed obrazem cudotwórcy. Znów Asan pozostał sam.

Pozostał sam, ale się już nie modlił. Jakiś dziwny chłód wystudził modlitewne ciepło w jego piersi. Jakieś zdumienie, ze wstrętem i aż obrzydliwością połączone, przejęło na wskroś jego duszę. A po odejściu zakonnika, jakiś strach zakolał, do jego serca.

I zrobiło się w jego myślach dziwnie czczo. Długo nie mógł przyjść do siebie. Wyobraźnia zmaciła się chaotycznie, a w niej przedstawił się mu świat bez słońca we dnie, bez gwiazd w nocy. Ciemność i cisza panowały szeroko, a w ciemności migotały światełka lamp, niesionych przez popów, i rozlegały się głosy kazań, mówionych przez popów. Za światełkami temi i głosami biegły tłumy ludu, ślepe i nieme, jak ćmy.

I w głębi duszy jego powstał niby-jęk, który następnemi da się wytłomaczyć słowami:

— Boże!... dokąd-że oni lud prowadzą?...

A gdy poczęło rozjaśniać się mu w myśli, to chciał zrywać, wybiedz natychmiast na ulicę i głośno opowiedzieć, wykrzyzczyć wszystko, co widział.

Lecz zapytał się sam siebie:

— Komuż będę opowiadał?... przed kim będę krzyczał?...

I odpowiedział:

— Grekom... Przed Grekami... Tym i przed tymi, których narzędziem są oszuści...

Nie mam potrzeby dodawać, że pod tym wyrazem „Grek” rozumiał on władzę grecką, rząd Augusta. Było to bowiem wszystko jedno: Grecy byli treścią idei cesarstwa wschodniego, August kluczem tejże idei. Pierwsi bez drugiego, i drugi bez pierwszych tracili sens polityczny, tracili rację bytu.

Więc nie poszedł za pierwszym popędem, ale wstał powoli, odemknął drzwi, i wyszedł z cerkwi.

Na ulicy owiał go nocny chłód.

Chłód, a szczególnie nocny, dziwny na wzburzony umysł wywiera wpływ. Asan puścił się z razu szybko, potem zwolnił chodu, potem stanął i obejrzał się. Przed nim na tle nocy zarysowały się kolosalne kształty; kościoła świętej Zofji. Z boku wznosił się obelisk Teodozjusza i obelisk Konstantego Porfirogienity, i widne były tu i ówdzie różne posągi i pomniki.

— Hippodrom . . . — szepnął nasz bohater sam do siebie.

I zamyślił się.

Myśli jego rozmaicie i dziwnie się układały, w jakieś fałdy i zmarszczki, w jakieś fale i wiry, aż strzeliły postanowieniem:

— Będę go śledził do końca...

Postanowienie to, odnosiło się do ojca Agapijego.

Jakoż przez kilka z rzędu wieczorów widzieć można było Asana, przypatrującego się z za filaru odnawianiu łez śtgo Dymitra i przebieraniu się ojca Agapijego. Potem śledztwo jego z cerkwi przeniosło się w okolice domu tego ostatniego. I doszedł Asan, że o pewnej wieczornej godzinie pop, oglądając się ostrożnie, wchodził na cmentarz, otaczający cerkiew i nikił pod kamieniem jednego z grobów. I doszedł

także, że po pewnym przeciągu czasu wynurzał się z pod tegoż samego kamienia przeobrażony na dandysa miejskiego, ogłądał się, przeskakiwał przez mur i tonął w ulicy. I doszedł również, że na ulicy nucał pod nosem piosnki świeckie, i zachodził do rozmaitych domów, z których były światła i w których grzmiały muzyki. Do jednego szczególnie z takich domów, częściej jak do innych, zachodził przebrany ojciec Agapij.

Asan odprowadzał go zwykle aż do progu, zatrzymywał się, i stał. Widział, jak wchodził, widział jak nad świtem wychodził, wracał na cmentarz, niął pod kamieniem i wynurzał się znów z pod niego w sukniach zakonnika.

Razu pewnego, napatrzywszy się przez dzień cały na rozmaite praktyki cudów świętego Dymitra i na łatwowierność wieśniaków, do takiej nasz bohater przyszedł konkluzji:

— Straszliwymi zbrodniarzami i oszustami są ci, co lud uwodzą; ale doprowadzili oni rzecz tak daleko, że chcąc ich pokonać, trzeba z nimi ich własną walczyć bronią... Niema rady... Smutna to ostateczność, ale ostateczność... Głoś czystą prawdę, to zostaniesz sam jeden, i nic nie

zrobisz... Walczyć potrzeba i wstępny
bojem i podstępami...

I w skutek zapewne tej konkluzji, tegoż samego jeszcze dnia, ustroił się elegancko i wszedł za ojcem Agapijem do domu, do którego on najczęściej zachodził i w którym najdłużej bawił.

Co to był za dom, to, żeby mu długiego nie poświęcać opisu, krótko powiem, że pod dachami jego odbywały się bachanalje. Zna czytelnik znaczenie tego wyrazu, ale może nie każdy wie o tem, że bachanalje przechowały się do dziś dnia, zmieniawszy tylko nazwę i zastosowawszy się do wymagalności nowoczesnej rozpusty. Można więc sobie wyobrazić, jakimi one były w Konstantynopolu, w epoce wielkiego rozwolnienia obyczajów. Nie nosiły już one na sobie cechy obrządków religijnych, i z tego powodu, nie w pewnych, przeznaczonych na nie dniach, lecz przez rok cały odbywały się, i nie cała ludność, ale sami tylko wybrańcy fortuny w nich uczestniczyli. W epoce, do której powieść niniejsza się odnosi, bachanalje nowem, silniejszym zajaśniały życiem, a to z tej przyczyny, że wyprawy krzyżowe wniosły w nie świeży, jędrny żywioł, naiwny jak ciemnota i ciekawy jak młodość. Konstan-

tynopol stał się Kapuą dla wielu feudalnych panów, którzy, zamiast iść walczyć o grób Chrystusa, znajdowali dla siebie grób na łonie rozpusty. Dla nich, dla tych frank-skich, anglo-saskich, germańskich i goto-iberyjskich barbarzyńców, na których grubej korze niepewnie świeciła się pożyłota chry-stjanizmu, wpół-tajemnicze te i niby-wzbro-nione przybytki bachanalji, nowego życia i nowego nabrały blasku.

VII.

Pierwszy raz w życiu znalazł się Asar w takim miejscu i w takim towarzystwie.

Pod wydetemi w łagodne wypukłości sklepieniami, wspierającemi się na szeregach połyskujących kararyjską białością kolumn, ozdobionych w wytworne kapitele i we wspinające się do góry powoje i bluszcze, rozległo się kilka obszernych komnat. Średnia jaśniała jarzącym się blaskiem, a poboczne tonęły w półświatle, zmniejszającem się w tajemniczą ciemność w odległych niszach, w których pomarańczowe, cytrynowe i laurowe krzewy zastaniały sobą otwory, prowadzące do dalszych jakichś tajemniczych kryjówek. Przez niektóre z tych otworów wydzierało się światło lamp i przy ich pomocy dojrzeć się dawały kształty grot i dzikich ustroni, wystanych mchem, siwiejących skałami i ustrojonych w stalaktyty; przez inne nie widać nie było. Kontrast światła

i ciemności, dziennej jasności i nocnej tajemniczości, odurzające sprawiał wrażenie, które podnoszone było jeszcze wonią kwiatów i krzewów, i tonami muzyki. Bo komnaty te wyglądały jak ogród. W nich pod same sklepienia wznosiły się drzewa, wyrastające z dużych kamiennych naczyń, wkopanych w podłogę, a pomiędzy drzewami z etruskich, ciemno-czerwonych waz lub z białych wazonów wyrastały krzewiny i kwiaty, ustawione tu w stożkowe bukiety, tam w pnące się do góry girlandy, ówdzie w płaskie grządki. Wśród drzew, kwiatów i krzewów widne były posągi mitologicznych bóstw, a na naczelnem miejscu stał posąg Bachusa, w bluszczowy na czole wianek i w winogronowe na ciele girlandy ustrojony. Jakaś cicha, brzęcząca i głaszcząca słuch muzyka, ożywiająca się niekiedy głośniejszym chórem, grała, to jak szemranie strumieni, połączone z brzęczeniem owadów, to jak melodia uroczystych hymnów, zgłuszana od czasu do czasu bądź pojedynczemi, bądź chóralnemi okrzykami radości, jakiej się oddawali siedzący, chodzący lub leżący po komnatach, niszach i grotach ludzkie. Siedzący zgromadzeni byli po największej części w środkowej komnacie, w której biesiadowali przy peł-

nych dzbanach i grali w kości; inni widzieć się dawali rozsypani po bocznych. Nie potrzebuję dodawać, że rodzaj ludzki reprezentowany był tam przez obie swoje połowy.

Asan, śledząc kroki ojca Agapijego, wiedział już, że się za wchód płaci. Zapłacił więc i wszedł.

Wszedł i zatrzymał się odurzony. Pop, przemieniony na modnego kawalera, znikł mu z oczu, jakby wpadł pod ziemię. Zatrzymał się nasz bohater i na razie nie wiedział, co z sobą począć.

Odurzenie to nie uszło baczności nimf, których kilka krążyło zwykle nieopodal od drzwi wchodowych. Natychmiast przejrzały one w Asanie na wskroś barbarzyńcę, barbarzyńcę w naszych czasach nazywanego się po francusku *pigeon à plumer*, po polsku, frycem. Natychmiast więc zbiegły się do niego i począły szczebiotać i otaczać go miękkimi ramionami.

Ze szczebiotania nie wiele bohater nasz zrozumiał; z otaczania jednakże ramionami poznał, że go nimfy gdzieś ciągną.

Nie łatwo wszakże było pociągnąć takiego Asana. Był to bowiem chłop silny jak dąb, słuszny, grubokościsty, taki, w jakiej postaci starożytność przedstawiała

ideał męskiej piękności, starożytność, której jak wiadomo, nie tyle chodziło o rysy oblicza, ile o harmonijne uwydatnienie mięśni całego ciała. Nimfy wciąż mu coś szczebiotały, jak ptaszki orłowi, owijały się około niego, jak powoje około drzewa, i ciągnęły go.

— Herkulesie... — rzekła jedna.

— Apollonie... — mówiła druga.

A trzecia śpiewnie, cichym, srebrzystym głosem, kładła mu w ucho jakieś niezrozumiałe dla niego wyrazy.

A on stał i oglądał się.

— Iść czy nie iść?... — zapytał w duchu sam siebie po chwili.

— Trzeba iść... — pomyślał. — Stojąc, nie znajdę ojca Agapijego...

Wstrząsnął się, i nimfy opadły około niego, jak opadają strzęsione z drzewa owoce.

— Barbarzyńcze!... — jęknęła jedna.

— Niegodziwcze!... — zawołała druga.

Asan nie słuchał tych jęków i wołań, i poszedł naprzód, oglądając się i nie wiedząc, co ma ze swoją osobą począć.

Agapijego nigdzie nie mógł dojrzeć.

Błądził więc pomiędzy drzewami, kwiatami i krzewami, pomiędzy kolumnami i posągami, pomiędzy kawalerami i nimfami.

A ponieważ ludzi było dużo, i nie mało także było grot tajemniczych, przeto nic dziwnego, że nie mógł się spotkać. Zatrzymywał się niekiedy dla obejrzenia się dookoła, zatrzymywał się także dla posłuchania muzyki. Kilkakrotnie zmuszony był bronić się natarczywości nimf, i już chciał wychodzić, gdy krocząc przez środkową komnatę, usłyszał, wołanie:

— *Evoe!*... Asan!

Obejrzał się. Wołanie się powtórzyło, poparte giestami człowieka, siedzącego w gronie grających w kości, i wołającego do siebie bohatera naszego. Pochodziło ono od jednego z setników armji Augusta. Asan rad był spotkaniu się ze znajomym.

— A, skromnisiu!... — zawołał setnik. — Namawiałem cię z sobą: nie chciałeś iść.. Przyszedłeś nareszcie sam...

Asan przywitał się z setnikiem, i usiadł obok niego.

— Sprobuj... rzuć kość... — rzekł ten ostatni. — Jedno ręki kiwnięcie może ci kilkadziesiąt sztuk złota darować...

— Wolę się przypatrywać tym razem... — odparł Asan od niechcienia. — Nie mam do kości ochoty.

Setnik nie nalegał, zajął się grą, a Asan w milczeniu spoglądał po grających.

Było pomiędzy nimi kilku wojskowych, było i kilku innych. Żadnego z nich bohater nasz nie znał. Grali i — jak zwykle w takich razach bywa — grały w nich namiętności. Jedni oddawali się uniesieniom radości, drudzy się smucili, inni rozpaczali. Nowy to był dla Asana widok, więc mocno się nim zajął. Kościarze szli w zapasy z losem, on się nim bawił. A takich, jak on, było jeszcze więcej, bo i w starożytności, jak dziś, wszelkie hazardowne, publiczne gry nie mogły obejść się bez galerji. Galerja zmieniała się: spektatorowie napływali, to odpływali: nowe twarze męskie i kobiece, zjawiały się co chwila, dawne znikaly. Asan rzucał okiem to na grających, to na spektatorów. Pierwsi zajęci byli kośćmi i pieniędzmi, które pożerali oczyma. W gronie tego towarzystwa panowała cisza, przerywana tylko stukiem padającej kostki, brzękiem srebrnych i złotych sztuk i rzadkiemi okrzykami graczy.

Cóż graczy tak zajęło, że jednym prawie głosem i wszyscy razem zawołali:

— Jerzy!..

W gronie spektatorów pojawił się kawaler w hiszpańskim płaszczu, z nimfą pod ramię i z nutą piosnki na ustach.

Nuta była tą samą, którą Asan słyszał co noc, na ulicy, gdy szedł zdaleka za przebrany zakonnikiem. Spojrzał więc na przybyłego kawalera, i poznał na nim ten sam płaszcz krótki, ten sam kołpak z czaplem piórem, tę tunikę i miecz i podkręcone do góry wąsy, które widywał z za filaru. Twarzy jednakże kawalera poznać nie mógł. Nie tylko bowiem cera, ale rysy, ale wyraz ogólny były w niej tak zmienione, że ani przypuścić było można, aby twarz ojca Agapijego i twarz kawalera, odpowiadającego na wołanie „Jerzy“ były jedną i tą samą.

Kawaler powitał graczy skinieniem głowy i uśmiechem.

— Siadaj!... siadaj!... — odzywali się do niego niektórzy, i usuwając się, robili mu miejsce.

— Nie będę dziś rzucał kości... — odpowiedział kawaler. — Postradałem na dziś serce, a z niem i worek... Bo wiecie, że moje serce i worek chodzą w parze nierozłączonej, jak rozkochani w sobie mąż i żona...

— Cha, cha, cha!... — odezwali się kościarze i galerja chórem.

— Któż ci zabrał te skarby?.. — ktoś z towarzystwa zapytał.

— Ten Kupidynek, co zasiadł w źrenicach Pulcherji... — odparł kawaler, ukazując z uśmiechem palcem na oczy trzymającej się go za ramię nimfy. — Strzelił łotr do mnie z za laurowej krzewiny i obdarł mnie ze wszystkiego...

Nimfa uśmiechała się filuternie, zaglądając Jerzemu w oczy.

— Niegodny Kupido!... — rzekł jeden z kościarzy. — Okryj-że się jutro przynajmniej mocnym jakim puklerzem...

— Jutro... co innego... Jutro nie dam się mu pokonać... Ale dziś przepadło... Bądźcie zdrowi, przyjaciele!..

To mówiąc, odszedł.

Asan zerwał się, wyszedł za nim i przekonał się, że ten kawaler był ojcem Agapijem.

Nazajutrz w obozie rozpytywał się Asan setnika:

— Co to za kawaler Jerzy?

— Doskonały, nieoszacowany kolega!!.. — odpowiedział setnik. — Do wszystkiego się nada... Nikt nad niego nie urządza lepiej serenad, które do nas Hiszpanie wprowadzili... A przy kościach jest jedyny, przy dzbanie niezrównany..

— Cóż on za jeden: Hiszpan, Grek?

— Ani Hiszpan, ani Grek, ale rodowity Bulgar...

— Bulgar?!... — zapytał Asan zdziwiony.

— Gdybyś ty słyszał, jak on nasze pieśni śpiewał!... aż dusza się raduje!... A gdy zacznie udawać bułgarskiego wieśniaka, proszącego o jałmużnę i podskakującego jak niedźwiedź, to od śmiechu boki łąb...

— On wyśmiewa wieśniaków?...

— Wyśmiewa, a jak doskonale! jakby się zrodził i wychował pomiędzy nimi...

— Zkądże on rodem?

— Nie wiem... — odparł setnik. — Ale mniejsza o ród, kiedy taki dobry kolega...

Z wiadomości tych był Asan kontent: dowiedział się bowiem, że z ojcem Agapijem, uchodzącym za rodowitego Greka, będzie mógł po bułgarsku się rozmówić.

Tego samego jeszcze wieczora był nasz bohater w przybytku bachanalji, siedział przy kościach i grał. Siedział przy nim i grał Jerzy.

Nie będę opisywał faz gry, bo w kronikach, z których treść do niniejszej powieści zaczerpnąłem, nie mogłem dojść, jak się ona w starożytności odbywała. Czy był to

rodzaj naszego welbecwelbika, czy landsknechta?... czy był tam bank lub pula i poniterowie?... o tem żadnej nie posiadam wiadomości. Wiem tylko, że Asan zasiadł do kości w zamiarze zabrania bliższej z kawalerem Jerzym znajomości. Grał więc ostrożnie i dopiął swego, a to z powodu tej okoliczności, iż kawaler zgrał się do grosika i bohater nasz ofiarował mu swój worek.

— Rzadki człowieku!.. wykrzyknął kawaler, przyjmując ofiarę. — Tyś się uchował od niedowiarstwa w naszym zepsutym wieku... Kiedyż ci mam oddać?...

— Kiedy zechcesz... — odparł Asan.

— Ol... dajże mi rękę i pokaż mi twoje oblicze!... niech pierwszą uściskam, a drugiemu się przypatrzę!...

Asan podał mu rękę. Kawaler rzucał kości dalej. A czy wygrał następnie, czy przegrał, to dla mnie i dla czytelników obojętną jest rzeczą.

Przez kilka dni spotykał się Asan z Jerzym i przepędzał z nim noce, i parę jeszcze razy oddał mu workową przysługę.

— Dlaczego jesteś dla mnie taki grzeczny?... — zapytał go ten ostatni razu pewnego.

— Rzecz naturalna!... — odrzekł nasz bohater. — Z tobą jednym mogę się najłatwiej porozumieć... Bez ciebie, byłbym pośród Greków i cudzoziemców zgubioną w tłumach jednostką...

— Więc i ja ci wywdzięczę grzeczność z mojej strony...

— Jaką?

— Poznajomię cię z Bulgarkami...

— Czy tu są Bulgarki?... — zapytał Asan z akcentem zdziwienia.

— Jakże-by być nie miały!... Nasze kompatriotki takie są pojętne i łaskawe..! Do nich wszystko dobre prędko przystaje...

— Dobrze... nimfy... — rzekł Asan półgłosem sam do siebie, robiąc sobie w myśli zestawienie tych wyobrażeń.

— Czyż miłość nie jest dobrem!... — podchwycił przebrany kapłan. — To zależy od tego, z jakiego punktu widzenia nań się zapatrujemy.. Klecha nazwie to złem, ale ty i ja dobrem, bo klecha widzi inaczej, a ty i ja inaczej...

— Co dla tamtego jest owocem zakazanym, to dla nas nie... To zależy od sukni... Z pod habitu świat czarno, z pod tuniki różowo się wydaje... Hej!... niech żyje Anakreon!... a z nim wino i dziewczęc-

ta!... Ja utrzymuję, że przodkowie nasi, poganie, lepiej od nas życie pojowali...

— Zgadza się z tobą zupełnie... — rzekł Asan.

Ten dialog przerwały nimfy, które tanczącym krokiem bajader zbliżyły się i zarzuciły na Jerzego i Asana łańcuch, przedstawiający girlandę z samych miesięcznych różyczek.

Od tej chwili pewien rodzaj przyjaźni zawiązał się pomiędzy dwoma tymi ludźmi. Ale pomiędzy Jerzym a ojcem Agapijem była przepaść nie do przebycia. Kawaler i zakonnik, będący jedną osobą, nie znali się, ani wiedzieli o sobie. Asan pomiarkował, że za pomocą Jerzego nie można do niczego ojca Agapija zobowiązać. Dwoistość ta jednego człowieka była nie do pojednania. Nie można mu było o niej ani wspominać, bo z pewnością jedna jej połowa znikłaby nadługo, jeżeli nie na zawsze, i z nią znikłby cały osnuty na niej plan działania. Trzeba ją było ująć na przechodzie, w chwili przeistaczania, i to tak, żeby się wycofać nie mogła.

Było to trudniejszym, jak się komu wydawać może, zadaniem, szczególnie jeżeli powiemy, jakim był na teraz plan Asana. Oto: powziął on zamiar przeniesienia

cudotwórcy do Bułgarii. Na co? -- to się później pokaże. Chodziło mu tedy o zabranie z Konstantynopola obrazu świętego Dymitra.

Zabrania tego skutecznie nie mógł otwarcie, bo o przemocy ani myśleć można było, a dobrowolnie, jakże-by na nie władze duchowne zgodziły się!... Czy majątek jego wystarczyłby na kupienie u greckiego, słynącego z ogromnych, monarchicznych bogactw patriarchy, obrazu, cudami słynącego!... Pozostawał więc jedyny sposób zabrania go ukradkiem. Ale i ten sposób przedstawiał ogromne trudności. Po prostu bowiem ukraść, do czego posiadane przez Asana klucza od zakrystji wszelką dawały mu łatwość, na nieby się nie zdało. Bo pomimo że proste zaręczenie naszego bohatera nie wystarczało na uznanie cudotwórczego obrazu autentycznym, to jeszcze proste zaprzeczenie patriarchy wszelką o autentyczność wątpliwość zmieniało w fałsz i okrywało go zarzutem oszustwa, a chociażby autentyczność i była uznana, to kradzież psuła cały efekt cudowności i tylko świętokradcę narażała na stos. Pozostawało więc jedynie korzystać z dwójstości zakonnika, który posiadał tajemnicę cudów i wiarę u ludu, Jakże z niej ko-

rzystać?

Bohater nasz wziął się do tego następującym sposobem:

Razu pewnego, kiedy ojciec Agapij, po uporządkowaniu obrazu i przeistoczeniu się na kawalera Jerzego, wchodził już do otworu podziemnego przechodu, który go miał z cerkwi na cmentarz, a z cmentarza na ulicę wyprowadzić, raptem, przed samym otworem zaszedł mu drogę Asan, i zawołał groźnie:

— Ojczy Agapij, kawalerze Jerzy, stój!... rozmówimy się!...

Kawaler odskoczył w tył, zmieszany niespodziewanem zjawiskiem, i z szybkością błyskawicy wychwyił z pochew miecz, i natarł na Asana.

Snać Asan spodziewał się tego, bo spadający silnie z góry i skierowany w jego łeb miecz kawalera, nie z łbem ale z ostrzem jego broni się spotkał. Nagie miecze skrzyżowały się, zadzwoniły cięciami, zazgrzytały ślizganiem się stali po stali. Jęknęły żalosnem echem sklepienia cerkwi, o które dotychczas odbijały się tylko głosy pieśni pobożnych i modlitewne westchnienia. Lampa przed obrazem cudotwórcy i latarnia upuszczona na podłogę przez Jerzego przyświecały temu szczególnemu

w swoim rodzaju pojedynkowi.

Pojedynek jednakże nie trwał długo. Z kilku złożzeń się zapastników poznać można było, że cała wyższość zręczności i siły była na stronie naszego bohatera. Kawalerowi chodziło wyraźnie o zabicie go: zadawał więc gwałtownie ciosy i pchnięcia, zmieniając szybko jedne drugimi i nie zasłaniając siebie. Ręką jego prowadziły rozpacz, wściekłość i złość. W ruchach jej, w ruchach całego ciała, takie objawiało się postanowienie: „albo sam zginę, albo przeciwnika zabiję”. Asan zaś odbijał cięcia i zasłaniał się od pchnięć, ale sam ciosów nie zadawał. W ruchach jego znać było zimną krew, nadzwyczajną wprawę i przytomność.

Po kilku złożeniach się, kawaler ołskoczył, spuścił broń, i tłumionym głosem zapytał:

— Czego chcesz?...

— Niczego takiego, coby ci jaką szkodę lub przykrość mogło sprawić... — odpowiedział Asan spokojnie.

— Czego chcesz?... — powtórzył przebrany zakonnik zapytanie.

— Chcę najprzód, abys włożył broń do pochwy ..

Zakonnik sapał, milczał i stał w po-

zycji obronno-zaczepnej, trzymając nagi miecz wzdłuż wyciągniętej naprzód prawej nogi.

Noga mu drżała i ręka drżała. Po jakim czasie i usta drżeć poczęły i zęby zadygotały jak w febrze. Rozpacz i wściekłość ustąpiły miejsca zimnej trwodze. Śnać zmierzył całe niebezpieczeństwo rozprawienia się z przeciwnikiem orężem, zmuszenia świadka do wiecznego milczenia ostrzem broni.

— Czego chcesz?... — zapytał raz jeszcze drżącym głosem.

— Włóż broń do pochwy!... — rzekł Asan groźnie, czując całą swoją moralną i fizyczną wyższość.

Zakonnik wykonał rozkaz, ale tak niezgrabnie, że zamiast do pochwy posunął brzeszot po jej powierzchni, wypuścił broń z garści i ona z brzękiem upadła na kamienie cerkiewnej posadzki. Asan postąpił krok naprzód i końcem swego miecza odsunął miecz przeciwnika na bok.

— Jesteś teraz bezbronny, kawalerze Jerzy... — rzekł tonem, w którym dzwoniło szyderstwo.

Biedny kawaler jakoś zmałał, pochylił się, zgarbił i patrzył wyrazem ojca Agapija, pokorny i pobożny, a czaple pióro,

chwiejące mu się nad czołem, wyglądało, jakby nie do eleganckiego kołpaka, ale do kaptura było przyprawione, a z pod hiszpańskiego płaszcza, zdawało się, że nie tunika ale habit wygląda. Złożył ręce, pochylił głowę i usunął się pod ścianę.

Asan postąpił ku niemu i tak dalej prawił:

— Nie chcę jednakże ko...

Wtem nagle, z szybkością bystrzejszą od mgnienia żrenicy, porwał zakonnika za rękę, w której krótkie, płaskie i ostre błysnęło żelazo. Z zakonnikiem błyskawiczna odbyła się przemiana. Oczy jego zaświeciły raptem, oblicze szatańskim zajaśniało wyrazem, i gdy ręka jego wpadła w kleszcze Asanowej dłoni, raptem oczy zgasły, na twarz spadła jakby maska bez wyrazowości.

— A!... -- rzekł Asan, trzymając silnie przeciwnika. — Wiedziałem z kim ja mam do czynienia... Poznałem ciebie po tem, jakieś cudotwórcy szpilką oczy nakłuwał...

Przy tych słowach zakonnik jęknął westchnieniem.

— Wiedziałem — ciągnął Asan — że dla ciebie igraszka być musi przekłuć pierś żywemu człowiekowi... Zmierzyłem

moje siły z twojami z góry, naprzód.... oglądałem cię i przypatrywałem się tobie... Nie chcę jednakże korzystać z mojej przewagi... Chcę tobie zaproponować układ, na którym dobrze wyjdiesz...

Kończąc te wyrazy, wydarł sztylet i puścił rękę zakonnika. Ten ostatni milczał i słuchał.

— Chcę tobie zaproponować układ...
— powtórzył Asan.

— Jaki?... — szepnął zakonnik.

— Odstąp mi obraz śtgo Dymitra...

— Cudotwórcy?... — zawołał ojciec Agapij z akcentem świątobliwego oburzenia, zapomniawszy snać o swoim stroju.

— Nie mów do mnie tym tonem... — rzekł Asan — wszak my się znamy...

— Na co ci ten obraz?... — rzekł zakonnik tonem prośby.

— Nie pytaj kupującego, na co kupuje; pytaj lepiej siebie, co ci przyjdzie ze sprzedaży?

Zakonnik, który z razu nie umiał sobie zdać sprawy z Asanowego pojawienia się, gdy ten postawił mu wyraźne żądanie, począł przychodzić do siebie. Zapytał więc nieco swobodniej:

— Cóż mi z tego przyjdzie?...

— Tysiąc sztuk złota...

Na te słowa po ustach zakonnika przesunął się lekki uśmiech.

— Pod warunkiem — ciągnął Asan — że ja ci natychmiast złoto wyliczę, a ty, wydawszy mi natychmiast obraz, ogłosisz jutro z ambony, że cudotwórca pokazał ci się na jawie i powiedział, że opuszcza tutejszy bezbożny kraj i idzie szukać dla siebie miejsca wśród pobożnego ludu, dla którego uprosi nieba o łaskę i błogosławieństwo...

Zakonnik milczał.

— No, czy zgoda?... — zapytał Asan.

Zakonnik jeszcze milczał, jakby się namyślał.

— Cóż mi z tego przyjdzie?... — odezwał się po chwili. — Tysiąc sztuk to mało...

— Możesz dodać, że cudotwórca powróci, jeżeli go chrześcijanie tutejsi będą o to gorąco prosić... To ci zwoła kilkadziesiąt zbiegowisk, i długo jeszcze będzie napełniać skarbonkę.

Zakonnik jeszcze milczał i rachował, i w końcu odezwał się:

— Niech tak będzie!... Śty Dymitr twój... Licz złoto...

A Asan mu odparł:

— Zdejmij cudotwórcę z kolka...

Złoto jest tu...

I wydobył z zanadruza długi worek, rozwiązał go i pokazał złoto.

Zakonnik w kawalerskim stroju przysunął ruchomą drabinę i, zdjawszy obraz, rozebrał go z ram, rozebrał i ramy, złożył, obwinął płótno po wierzchu, potem cały zwitek obwinął jakimś udzierkiem komeszki, obwiązał sznurkiem i oddał Asanowi. Asan wyliczył mu złoto.

Podczas tych krzątań się około obrazu i obliczania złota pomiędzy dwoma tymi ludźmi zupełna panowała harmonja, jakby nigdy żadna nie istniała pomiędzy nimi nieprzyjaźń. Zakonnik był wesół: żartował.

Gdy jeden miał w ręku zwitek, drugi pieniądze, ten ostatni odezwał się:

— Ale na mojej stronie pozostaje krzywda: obraz na złoto... głowa na głowę... to dobrze; ależ na mnie jeszcze cięży warunek ogłaszania z ambony, a na tobie żaden...

— To ja ci zareczam, że nigdy się z tobą nie spotkam: ani zajrzę pod te dachy, pod które nocami zaglądasz... Chodziłem tam dla ciebie, i jeżelibym poszedł jeszcze, to w takim tylko razie, gdybyś nie dotrzymał warunków...

— E!... — machał zakonnik ręką — niech tak będzie!..

— Bądź zdrow... — odpowiedział mu Asan i posunął ku drzwiom.

— Którędy?... — zapytał zakonnik.

— Ja tędy, a ty pod podziemie i grób... Zostawię ci klucz, który mi ułatwia wchód i wychód, a który mi już niepotrzebny... Wyjmij go z zamku, bo gdyby go znaleziono, toby powiedziano, że cudotwórca oddał się złodziejom...

I rozeszli się.

Nazajutrz gruchnęła wieść po stolicy:

— Dymitr cudotwórca opuścił Konstantynopol!..

Wieść ta napełniła mieszkańców smutkiem. Do cerkwi, w której wisiał obraz, biegły tłumy ludu.

Ojciec Agapij grzmiał z ambony:

— Korzcie się i czyńcie pokutę, grzesznicy!... Cudotwórca poszedł szukać pobożnych ludzi, dla których uprosi błogosławieństwo; ale obiecał powrócić, jeżeli się poprawicie... Czyńcie ofiarę na opuszczoną przez niego świątynię!...

Lud rzucał do skarbonki pieniądze.

A wieść o wyjściu świętego szerzyła się i coraz nowemi potwierdzała się znakami. Widziano tej nocy, jak przez po-

wietrze, za miastem leciało coś ciemnego otoczonego siedmiu gwiazdami. Widziano obraz przy jakimś źródle. Widziano na niebie kometę. Widziano jeszcze otwarte niebo, do którego coś niby wchodziło. Nie można było wprawdzie nikogo znaleźć, kto-by, wyjąwszy komety, którą wszyscy oglądali, widział to wszystko żywemi oczyma. Ale wszyscy o tem słyszeli. A słyszenie wszystkich może zastąpić jakiegoś-tam pojedynczego człowieka widzenie. Więc wyjście cudotwórcy znalazło powszechną wiarę, która z miasta wylała się za miasto i potoczyła się po całym cesarstwie, w miarę oddalenia swego wzrastając jak lawina.

VIII.

Po zabraniu obrazu nic już nie zatrzymywało wędrowców naszych w Konstantynopolu. Pojechali. Pojechali, nie poszli, a to z tej przyczyny, że mieli dużo takich rzeczy, które szkoda było zostawić, i których na prowincji nie sposób dostać. Książki, ubiory, rozliczne sprzęty, nabyte w ciągu półrocznej bytności, nie mogły być przeniesione z Konstantynopola do Tyrnawy na grzbietach dwóch ludzi. Nakupili więc koni, mułów, juki, przyjęli służących, i puścili się w podróż nie zupełnie po pańsku, bo nie w lektykach, jak ówcześni panowie podróżowali, ale i nie tak już ultra skromnie, jak przybyli do stolicy wschodniego cesarstwa. Piotr i Asan, dobrze ubrani i dobrze uzbrojeni, jechali konno przodem, a za nimi ciągnął się szereg objuczonych koni i mułów, zamknięty oddziałem zbrojnych jeźdźców. Jeźdźcy ci byli wynikiem pieczołowitości szambelana, który obawiał się, aby siostrzeńce nie narazili się na jaki smutny w górach wypadek.

Szambelan nie chciał puszczać siostrzeńców, a szczególnie Piotra.

-- Nie jedź... — mówił.

Piotr przeproszał wuja i odpowiadał, że musi jechać.

— Nie jedź... — nalegał szambelan. Ale Piotr nie dawał się namówić.

— Słuchaj... — rzekł dostojnik — wyjawię przed tobą tajemnicę stanu, na której osnułem twoją przyszłość... Może ona być świetną, ale trzeba, żebyś został.

Piotr milczał. Szambelan obejrzał się na drzwi i okna i tak ciągnął dalej:

— Wiesz, że w Węgrzech panuje Bella III... Bella III ma córkę Konstancję... Nasz August ma zamiar żądać jej ręki... wyszle więc do Węgier poselstwo, które chce, aby było jak najświetniejszym... Staram się, abys i ty należał do poselstwa i mam wszelką pewność, że dostaniesz w niem jedną z najpierwszych rolę... Ale o tem ani słowa nikomu... August zwierzył się trzem tylko osobom: mnie, wielkiemu kwestorowi i pierwszemu eunuchowi dworu... Mnie polecił raczył ułożenie ceremonjału poselstwa... Więc nic nie może być łatwiejszego, jak umieścić ciebie na liście personelu... Umieściłbym i Asana, ale on...

Tu szambelan westchnął.

— Ale on tracił na próżno czas w stolicy i nawet o prostą nie dbał przyzwo-

itość... Twój brat jest do niczego... Taka lekkomyślność jest do nieprzebaczenia... Trzeba przeto, żebyś ty przynajmniej starał się o podniesienie blasku rodziny i nie opuszczał nastęrczającej się sposobności... Nie jedź...

— Muszę jechać, drogi wuju... — odparł Piotr — Asan ma się żenić z Marją, córką Radomira Sursuwuły... Nie mogę więc nie być przy zaślubinach brata...

— Co tam zaślubiny!... — przerwał szambelan. — Poselstwo do Węgier jest ważniejsze...

— Daruj, wuju... — odrzekł Piotr. — Dla mnie ważniejszemi są zaślubiny...

Szambelan utrzymywał swoje, Piotr swoje i jeden drugiego przekonać nie mógł.

— To przynajmniej nie wyjawiaj tajemnicy stanu, którą ci niebacznie powierzyłem... — rzekł dygnitarz niechętnie.

— O to bądź, drogi wuju, spokojny... zachowam ją w sobie, jak morze zachowuje w głębiach swoich rzucony w nie kamień...

— Nie wygadaj jej ani przed Asanem...

— Nie wygadam...

Równie nastającym na pozostanie w stolicy okazał się i ekskwestor przy pożegnaniu z Piotrem. Ten nie posiadał tajemnicy stanu: więc przemawiał nie w jej imię,

ale w imię bułgarskiego towarzystwa przemawiał do odjeżdżającego. Wyrażał się jednakże tak oględnie, że wyrazów „Bułgar, bułgarski“ ani razu nie wymówił, i tylko dawał je do zrozumienia.

— Z przyjemnością — powiadał — widzę, jakim cię tu powszechnem otaczają zaufaniem... Przez wzgląd więc nie na siebie, ale na tych, co cię otaczają i zapatrują się na ciebie, powinieneś zostać... Stałeś się tu potrzebnym... Twoje oddalenie się jest grzechem, jest kradzieżą własności, nie do ciebie samego już należącej. Człowiek bowiem w towarzystwie, stawszy się towarzystwu potrzebnym, staje się jego własnością i nie może rozrządzać sobą samowolnie... Trzeba, żebyś się oglądał na innych: czy komu krzywdy nie wyrządzasz?... A powiadam ci, Piotrze, bez pochlebstwa, bo i na cóż miałbym ci pochlebiać! że opuszczając Konstantynopol, wyrządzasz bolesną krzywdę tutejszemu towarzystwu... Nie jedź...

Piotr odpowiedział, że musi jechać.

— Nie namawiałbym Asana — ciągnął eks-dygnitarz — on wyłamał się z pod praw towarzyskich... On jest nadzwyczajnie lekkomyślnym... Podeptał wszelką przyzwoitość... Dochodziły mnie nawet wieści,

którym nie chcę wierzyć, że widziano go w bardzo podejrzanych domach, a o tem, że się wdawał z żoldactwem, to i ty wiesz zapewne...

Wieści o tem, że widziano Asana w podejrzanych domach, dochodziły i Piotra, i niepokoiły go, i chociaż im nie zupełnie wierzył, były jednakże jedne z najważniejszych pobudek do jak najspieszniejszego wyniesienia się z Konstantynopola. Wiedział on bowiem o tem, że umysły gorączkowo pożądające czynu, jeżeli nie mają możliwości iść drogą prawą, puszczają się często na bezdroża. Chciał więc z tych bezdroży, albo raczej z możliwości puszczania się na nie, wyprowadzić brata jak najprędzej.

Powszechnie żałowano Piotra, i dla niego postanowiono obydwóch braci wyprowadzić za bramy stolicy. Wykonaniu jednakże postanowienia tego stanęła na przeszkodzie ważna jedna okoliczność. W dniu bowiem wyjazdu braci naznaczoną została uroczysta procesja, prowadzona przez samego patriarchę, na uproszenie śtgo Dymitra o powrót do Konstantynopola. Procesji tej asystowali: August i wojsko. Miała ona przeciągnąć przez wszystkie ulice i udać się za miasto do studzienki, przy

której, jak wieść niosła, cudotwórca chwilo-
wo był spoczął. Wszystko więc co żyło, poś-
pieszyło na procesję i bracia nasi wyje-
chali nie wyprowadzeni.

— Jedźmy bocznemi ulicami...—rzekł
Asan do Piotra, wsiadając na koń.

— Dlaczego?...—zapytał ten ostatni.

— Bo nie chciałbym spotkać się z
popami... Popłoszą nam konie i muły....

— A ja właśnie chciałem się spotkać
i pomodlić się, i widzieć paradę, której
dwa razy w życiu widzieć nie można.

— To zrobmy tak — rzekł Asan —
ty jedź wprost, ja zaś z jucznemi końmi
pojadę bokiem... Zjedziemy się za mia-
stem..!

Piotr przystał na ten podział, który
mu się wydał dobrze upowodowanym. Pu-
ścił się głównemi, Asan bocznemi ulicami.
Lecz stało się wbrew chceniom braci: bo
Piotr rozminął się z procesją, a Asan się
z nią spotkał. Gdy jechał, z poprzecznej
ulicy wysunęły się chorągwie cerkiewne i
przecięły mu drogę. Karawana podróżna
zsiadła z koni, Asan usunął się w tył i
zasłonił się pierwszym w szeregu mułem,
niosącym na grzbiecie dwie duże, mocno
okute skrzynie, z których w jednej na
dnie, spoczywał cudowny obraz, i z za

muła przypatrywał się procesji. Na czele szły krzyże i obrazy; za nimi, pod pysznym, aksamitnym, ustrojonym w bisiory i frenzle ze złota i drogich kamieni baldachimem, postępował poważnie siwy jak gołąb patryarcha, prowadzony pod ręce przez najpierwszych dostojników państwa; za patryarchą szedł młody August ze spuszczoną pobożnie głową; po obydwóch stronach ciągnęły się szeregi popów, poprzedzane przez biskupów i dygnitarzy kościelnych i zakończone kolumną duchowieństwa, na czele której szedł ojciec Agapij, w żałobnych ornatach na u-symbolizowanie sieroctwa, jakie spotkało cerkiew, w której on był proboszczem; dalej ciągnęło wojsko, najznakomitsi urzędnicy, wybór towarzystwa stołecznego i lud. Duchowieństwo śpiewało hymny i niosło kadzielnice. Dzwony ponuro jęczały. W tłumach ludu słychać było płacze i głośne modły. Procesja przeciągała dłużej jak godzinę i cała przedefilowała przed obrazem cudotwórcy, zwiniętym i na dnie paki schowanym. Asan w milczeniu przypatrywał się defiladzie, po przejściu ojca Agapijego wysunął się z za muła naprzód; a gdy procesja przeszła, uśmiechnął się, machnął ręką, wsiadł na koń i poje-

chał. Piotr óddawna czekał na niego za miastem.

Nie będę opisywał podróży ich. Odbyła się jak zwykle, ze wszystkimi przyjemnościami i nieprzyjemnościami, z wygodami i przykrościami.

Godnem jest zaznaczenia, że wieść o opuszczeniu Konstyntonopola przez cudotwórcę i poszukiwaniu przez niego miejsca, uprzedziła naszych podróżnych w Tyrnawie, będącej kresem ich powrotu. Jak skoro ujrzano ich w rodzinnem mieście, natychmiast posypały się na nich gradem pytania o szczegóły, tyczące się wypadku, który całemu ortodoksyjnemu światu wydał się niesłychanie ważnym. Piotr i Asan odpowiadali, jak mogli i jak umieli; nie powiedzieli jednakże — pierwszy dlatego, że nie wiedział, drugi dlatego, że nie chciał — iż cudotwórca przywędrował wraz z nimi w pace. Zanim do swego dojechali mieszkania, otoczył ich tłum ludu, rozprawiający o niczem innem, tylko o ó-tym Dymitrze.

— Może święty do nas przyjdzie... — ktoś się odezwał.

— Może.. — odpowiedział inny.

— Ależbyśmy go przyjęli!... — dał się słyszeć głos.

— Czy tylko zdołalibyśmy go poznać!... — zawołał jeden.

— O!... — odezwało się kilka na raz głosów...

— Mnie wyleczył na zęby!...

— Mnie od paraliżu uratował!...

— Ja miałem kurzą ślepotę!...

— Mnie w uszach strzykało!...

— A mnie bolało pod sercem!... — ktoś głośno krzyknął. — To ja przez cały tydzień stałem przed nim i patrzyłem na niego!...

— Poznalibyśmy go od razu!... od pierwszego razu!... — wołano zewsząd.

— Mam go żywo przed oczyma!...

— O, byle się tylko pokazał!...

Asan zsiadł z konia, wmieszał się w tłum i pilnie przysłuchiwał się tym rozmowom.

Podróżnych w owych czasach, a szczególnie pielgrzymów pobożnych, było dużo. Konstantynopol był dla nich Rzymem. Każdy chrześcijanin uważał się za obowiązowanego raz przynajmniej w życiu odbyć pielgrzymkę, dla pokłonienia się miejscu świętem. Ten zwyczaj trwa i dziś jeszcze na wschodzie. Nic więc dziwnego, że wielu Tyrnawian było w Konstantynopolu, i przez szczególną dewocję do cudotwór-

nego Dymitra poznał się z jego wizerunkiem. Trzeba również wiedzieć, że i same obrazy inną wówczas, niż dziś, odegrywały rolę. Żywiej one do wyobraźni gorąco wierzącego przemawiały ludu. Ikony oddawała się cześć, bardzo mało różniąca się od pogańskiej. To samo i dziś się tam dzieje. Ciemnota obrazom przypisuje te same własności, co dawni poganie posągom i posążkom, i wielu obrządkom i gusłom teraźniejszym możnaby doszukać się rodzicielstwa w przedchrześcijańskiej epoce. Bogów opiekuńczych zastąpili patronowie, penatów patronowie domów i rodzin. Zmieniły się nazwy i formy, nagięte i zmodyfikowane stosownie do ducha chrystjanizmu, ale rzecz w gruncie pozostała tą samą. Mnie się zdaje, że np. Bulgarom dzisiejszym, nie na Islamizm, ani Judaizm, bo te są czem innym, ale na dawny przejść poganizm, nie byłoby wielkiej trudności.

Zajechali nareszcie wędrowcy nasi do mieszkania swego. W progu powitał ich najmłodszy brat, Jan (Joanica). Z powitania jego z łatwością dało się wnioskować, że pomiędzy braćmi serdeczna harmonja i rodzinna miłość panowały. Był on rad braciom, po kilkakrotnie ich witał,

śmiał się, nie mógł dla nich dobrać miejsca. Wszędzie, gdzie ich posadził, wydało się mu, że im źle, niewygodnie, a rozpytywał, a gościł, a posługiwał. Słudzy się zbiegli i otoczyli ich. Myto im nogi, obnoszono i zastawiano dla nich posiłki. Jakieś stare kobiety jedna Piotra, druga Asana nazywały synami: były to ich niańki. Znoszono juki i skrzynie podróżne.

— Wyszliście samowtór — rzekł Jonica — a powracacie tak zapaśnie i ludno...

— Wyrosłeś i zmeźniałeś... — mówił Piotr do najmłodszego brata. — Cóż tam słyhać?...

— Wszystko po staremu...

— Nie zaszły jakie zmiany, polepszenia?...

— W domu szło wszystko starym porządkiem, w kraju wszystko po staremu, wyjąwszy to, że kazano podatki zapłacić z góry za dwa lata.

— Z góry?... — zapytał Asan.

— I obiecują następnie ulgi, zmniejszenie ciężarów...

— A nasi temu wierzą?...

— Wierzą...

Asan westchnął. Joanica ciągnął dalej, zwracając mowę do Piotra.

— Mówiono tu powszechnie, że August zamierza uczynić ciebie egzarchą Bułgarii i cieszą się tem niezmiernie...

Piotr się uśmiechnął. Asan powiedział:

— Nie taki August głupi, jak się zdaje: gotów on zrobić wszystko dobre, ale w takiej tylko mierze, aby władzę swoją wzmocnić i skarbiec powiększyć... A egzarchat Piotra zadałby uszczerbek i jednej i drugiemu, bo Piotr jest uczciwym Bułgarem...

— Ja też temu nie wierzyłem, ale ludzie wierzyli — rzekł Joanica — a teraz o niczem tu nie mówią, tylko o św. Dymitrze... Dziwnem jest jednakże to wyjście cudotwórcy z Carogrodu...

— Bardzo dziwnem... Powiedział Asan z akcentem dobitnego twierdzenia.— Cóż tu o tem mówią?...

— Rozmaite rzeczy, a między innymi to, że cudotwórca przyjdzie do Bułgarii... Chodzą wieści, że ukazał się we śnie jakiemuś świątobliwemu pustelnikowi w pobliżu Perejaśławia i powiedział mu: spodziewajcie się mnie.

— To dobrze... — szepnął Asan sam do siebie — kawaler oddał mi wielką usługę...

— Robią więc przypuszczenia — ciągnął Joanica — że albo do Perejasławia, albo do Tyrnawy przyjdzie...

Perejasław i Tyrnawa grały w owym czasie w Bułgarji rolę dwóch stolic. Perejasław był dawniejszą, Tyrnawa późniejszą stolicą. Zabraný naród zapatrywał się na nie jak na świętości, które Grecy kłali i poniewierali, bądź niszcząc, bądź na swój obracając użytek nagromadzone tam pamiątki narodowe. Pomimo to jednakże miasta te były jakby sercem i płucami narodowego ciała, w których uciśniony, lecz nie zabity na śmierć organizm, odświeżał krew i czerpał oddech. Grecy całych dokładali usilności, aby go zabić. Lecz naród, to nie pojedynczy człowiek. Żeby naród zabić, potrzeba całe jedno pokolenie zniszczyć co do nogi, potrzeba urwać dziejowo-społeczny łańcuch...

I dzisiejsza Bułgarja, taka sponiewierana, jaką jest, nie przestała być jednakże narodem, który przespał przez ciąg kilku wieków, owinięty w całun letargowy. W letargowy — nie śmiertelny: a to dlatego, że Turcy pokonali państwo. Ku temu

podobieństwo codzien staje się większem. Temu nikt zdrowo pojmujący dzieje i społeczność narodów, zaprzeczyć nie może. Jeżeli naród sam, dobrowolnie, we wszystkich objawach swego życia nie popełnił na sobie samobójstwa, to on ma przyszłość.

Życie podległej Grekom Bułgarji koncentrowało się w Tyrnawie. Perejasław miał charakter bardziej pamiątkowy, zakrawał bardziej na muzeum narodowe, przemaszające każdym kamykiem bruku ulicznego, każdą stopą ziemi okolicznej, zlanych hojnie krwią obrońców niepodległości narodowej. Były tam wspomnienia, sięgające walk ze Światosławem waregskim. Wspomnienia w Tyrnawie, późniejszą nosiły datę. Pod temi wspomnieniami, jak w popielisku, tlały w sercach mieszkańców obydwóch stolic iskiereki patriotyzmu, których trudno było doszukać się na zewnątrz. Bułgarzy bowiem od najdawniejszych czasów — jeszcze jako Mezowie — winnymi stali się wobec dziejów niehartowności patryotycznego uczucia. Kochali ojezyznę wzdychającym sposobem; przelewali za nią krew w bardzo nadzwyczajnych razach, a tylko w nadzwyczajnych woleli przelewać łzy, jak krew. Mówię to o sferze, o tej, którąbysmy dziś nazwali inteligencją; bo

co się tyczy sfery ludowej, wieśniaczej, cierpiącej, to o niej dałem czytelnikowi dokładne wyobrażenie w początkowych rozdziałach niniejszej powieści, przytaczając jeden epizod z pieszej wędrowki Piotra i Asana.

Potrzeba jednakże powiedzieć, że patriotyzm w Tyrnawie żywiej nieco we krwi mieszkańców krążył. Żywiej, ale nie tak, aby można było coś na nim budować. Wiadomość z Konstantynopola o pamiętnym wyrzeczeniu Augusta, przyspieszyła bicie serc, rozpogodziła oblicza, rozwiązała do stawienia ostrożnych a bojaźliwych nadziei kilka języków, i oto wszystko. Piotr stał się bohaterem nadziei, których spełnienie zdano najprzód na Boga, potem na Augusta, a na siebie, na naród, nikt nie ośmielił się liczyć. Ostrożność, posunięta dalej trochę jak potrzeba, przerodziła się w tchórzostwo, w które ona zawsze, koniecznie przeradzać się musi, ilekroć o włos dalej jak należy się posunie. Być „zbyt ostrożnym” i być „tchórzem”, to jedno i to samo, którego źródłem jest tak zwane „umiarkowanie patriotyczne”, ciepławość, słomianość, dobra jak ulepek na rozwolnienie dziecięcego żołądeczka, ale najmniejszej ojczyźnie korzyści nie przynosząca. Są bowiem rzeczy, których umiarkowanie

kochać nie można. Takiemi są: Bóg i Ojczyzna. Można je kochać, albo nie. Pośredniej w odniesieniu do nich, pomiędzy kochaniem a niekochaniem, drogi — nie ma. Tyrnawianom zaś zdawało się, że jest, a za model służył im stary, poważny doświadczony, mający reputację rozumnej wytrawności, otoczony urokiem dysgracji Augusta, znajomy już nam nieco Radomir Sursuwuła.

Z Radomirem poznajomimy się bliżej. Pierwej jednakże wypada nam poznać Tyrnawę, rozkład miasta, i niektóre nawet topograficzne szczegóły (nego, które potrzebne w ważnych momentach powieściowego opowiadania.

Tyrnawa leży w wąwozie, którym Jantra przerzyna się od głównego łańcucha Bałkanów do Dunaju. Rzeczka ta, na całej prawie długości przebiegu swego ma charakter górskiego potoku — skacze po skałach, spada kaskadami, pieni się, wiję, na wiosnę wzbiera, w końcu lata maleje, w jesieni znów wzbiera, a zimą nie daje się ująć w okowy lodu. Nad nią, na bliższej od źródła połowie jej długości, rozłożyła się stolica Bułgarji. Wybrała ona miejsce dla siebie w wąskiej dolinie, przy ujściu do Jantry jednego z pomienionych

lewobrzeźnych potoków. rozsadzającego góry w wąwóz, prostopadły do jantrzańskiej doliny. Podstawą więc pozycji tyrnawskiej jest kształt „T“ drukowanego. Kreski wyobrażają doliny, a czysty papier piętrzące się do koła góry. Środkiem dolin płyną, albo raczej biegną rzeki, formując dwa kąty, z których jeden jest ostry, drugi rozwarty. Od rozwartego góry odskakują na znaczną odległość, i otaczając go półkolem, pomiędzy nim a sobą formują sporą równinę, jakby umyślnie od natury na miasto naznaczoną. To też w niej właściwie rozsiadła się Tyrnawa, ześrodkowana około placu, obramionego z dwóch stron rzekami, a z dwóch drugich domami. Przerzuciła się ona i za rzeki, ale o tyle tylko, o ile na to góry pozwoliły, wznoszące się nad miastem to łagodnymi pochyłościami, to stromemi urwiskami. Po pierwszych wspięły się domy i domki, po drugich omszone skały, bluszcze i krzewy. Wśród tych ostatnich w pewne zdziwienie wprawiał widok trzech budynków, panujących nad miastem.

Budynki na urwiskach były cytadelami, ale nie wszystkie. Dwa tylko jeżyły się zębami i basztami opasujących je murów i stały w takiej pozycji, jakby sta-

rożytni przeczuwali użytek, jaki w naszych czasach robią luźnie z dział, miedzianych, pełnych wydrażonych pocisków, przeciwko zbuntowanym grodom. Wprawdzie i oni mieli pociski, których słabą stroną było tylko to, że i buku niesprawiając, nie napędzały strachu; ale za to kilkudziesięciocetnarowemi kamieniami mogli przywalić i w ruinę obrócić najmocniejsze domy, a greckim ogniem z miasta kupę zgliszczy zrobić. Rezerwoarami — że tak powiem — zniszczenia, zawieszzonego jak grom boży nad Tyrnawą i nurzającego w niej z góry strażnicze oko, były dwa budynki. Tyrnawianie ze strachem wznosili oczy i spoglądali na nie, i widzieli je z każdego punktu równiny, na której skupiło się miasto.

Trzeci budynek nie miał ani ząbczastych murów, ani baszt, i położonym był w ostrym kącie, w który urwisko do samych brzegów dwóch rzek się docisnęło. Nie był on tak wysoko podniesionym jak dwa pierwsze, i dla tego zapewne Grecy nie użytkowali położenia jego na cytadelę. Płaska skała służyła mu na podstawę. On z niej wyrastał prostopadle pysznym pałacem z cedrowego drzewa, ustrojonym w to wszystko, co tylko ówczesna budowni-

cza sztuka na rozporządzenie swoje miała. Skała, na której się wznosił, wisiała nad głównym pałacem miejskim, podmyta przytokiem Jantry i niby zagrażająca każdej chwili upadkiem. I pałac na niej miał pozór zawieszenia tem dobitniejszy, że się podpierał szeregiem białych marmurowych kolumn, na których wznosiła się frontowa połowa górnych pięter i krużganków. Krużganków było kilka, ale pomiędzy nimi jeden szczególnie wychodził na plac, jak trybuna dla mówców w izbie sejmowej, jak ambona dla kaznodziei w kościele. Z niego można by było przemówić do zgromadzonych na placu i być przez nich słyszany.

Nie będę opisywał ze szczegółami ozdób pałacowych, bo nawet — wyznać muszę — nie potrafiłbym zdać dokładnej sprawy z rozlicznych kształtów gzymsów, kapiteli, łuków, linji i rzeźb, któremi wypełnione były kolumny ściany, okna, drzwi i krużganków balustrady, i dachów wieżyczki i kopułki, tu ubarwione, ówdzie ozłoczone, gdzieindziej ubielone, w innych miejscach pozostawione w naturalnym cedrowego drzewa kolorze.

Dla czego pałac ów był drewniany? —

na to odpowiedzieć nie umiem bez „może“. Może właściciel onego przekładał sprowadzone z wielkim kosztem z Libanu drzewo, nad rozsypane obficie w tyrnawskich górach kamienie. Może drzewo nadawało się lepiej do kształtów, wymagających lekkości gatunkowej materyału. Może chciano uniknąć pozorów cytadeli w gmachu, postawionym w dominującej pozycji. Ten ostatni domysł zdaje się być najbliższym prawdziwości, bo istotnie, gdyby ów pałac był murowanym, to, biorąc na uwagę owoczesne wymagalności sztuki wojskowej, mógłby z łatwością zmienionym być na obronny zamek, do którego przystęp z trzech stron był niepodobnym, a z jednej mógł być bardzo utrudzonym. Lecz w budowie onego chciano widocznie uniknąć wszelkich wojennych pozorów: tak bowiem przystęp ułatwiono, że można było podejść do samego pałacu i podłożyć ogień, gdyby—rozumie się—właścicielowi zamarzyło się zamknąć w celu obrony. A podłożony od strony przystępu, ogień przecinał zamkniętym odwrót i uniemożliwiał wszelki ratunek. Pozostawało im: albo rzucać się w płomień, albo skakać z urwiska w potok lub w Jantę. Pomimo więc wszelkich korzyści pozycji, pałac ów tak był

bezbronny, jak pierwszy lepszy dom w Tyrnawie.

O ile widok cytadeli wzbudzał w Tyrnawianach postrach, o tyle na pałac spoglądali z głębokiem uszanowaniem. Nie raz oczom zgromadzonych na placu podczas targu ludzi ukazywała się z krużganku poważna postać starca, albo lekka młodej kobiety. Wówczas pochylały się głowy ukłonem i jedni drugim podawali do ucha:

— Patrz, to Radomir Sursuwuła... albo:

— Patrz, to Marja, narzeczona Asana. Sursuwuła był właścicielem pałacu, i mieszkał w nim z córką jedynaczką i licznym dworem.

IX.

Gdybym chciał opisywać pożycie domowe Radomira Sursuwuły, to ze słownika mowy ludzkiej musiałbym wyczerpać wszystkie wyrazy pochwalne i zestawić je tak, aby wszystkim ludziom jak najwyraźniej powiedziały, że pożycie domowe dysgracjonowanego dygnitarza, było jak najgodniejszym naśladowania. Pałac jego Można było uczynić takim, jakim pewien filozof chciał, cały szklany można go było zrobić przezroczystym, aby każdy, każdej chwili, widział postępowanie i zatrudnienie gospodarza. Gniew wzbudzały ściany, zakrywając oczom ludzkim wnętrze pomieszkania prawego człowieka, i tylko to pocieszało, że chociaż oczy nie widziały, to uszy słyszały, i sława Sursuwuły, jak dobra moneta, wzbudzała powszechne zaufanie. Wyrazami które z ust jego wyszły, obnoszono się jak tekstami z pisma świętego, a „co mówi

Radomir" było kamieniem probierczym publicznej opinji.

Starzec znał znać potęgę słów swoich, bo był na nie bardzo oszczędnym. Mówił mało, ale gdy co powiedział, to z takim zważeniem przyczyn i skutków, z takim wszechstronnym obmysłem, że wyrzeczenia jego brzmiały jak wyroki, i tę tylko miały słabą stronę, że nie zawsze bywały jasne. To jednakże, przez wzgląd na dyplomatyczne, nabrane w młodości nawyki, można mu było wybaczyć. To nawet wielu na karb zalety mu kładło.

— Bo gdyby wyrażał się zawsze jasno — powiadano — to musiałby chyba zaprzestać mówić, z obawy omylenia się za każdym słowem.

A powiadano tak dla tego, że nie w lada sprawach odwoływano się do Sursuwuły. Naprzykład:

— Co Bulgarzy powinni robić, aby Ojczyzna ich była szczęśliwa?...

— Modlić się i pracować... — odpowiadał Sursuwuła.

Odpowiedź ta była wyraźną i niewyraźną. Wyraźną była dla zrezygnowanych na stan obecny, bo ci modlili się o natchnienie Augusta łaskawością i miłosierdziem, i pracowali. Przymierzona jednakże do idei

narodowej, wymagała w drugiej swojej połowie objaśnienia, którego Radomir nie dawał. Jak pracować? Zgadzał się on na to, że prawdziwego szczęścia nie może Bułgaria bez bytu narodowego osiągnąć; lecz to zgadzanie się było bardziej teoretycznym, nie zaś praktycznym, bo byt ten zależnym czyniło od takich warunków, których kombinacja była niepodobną. Utrzymywał naprzykład:

— Potrzeba nam sił materyalnych...

Ktoś-by myślał, że te „siły materjalne” oznaczały wojsko, potrzebne do osiągnięcia bytu. Jak żywo — nie. Oznaczały one: przemysł, podniesienie rolnictwa, rękodzielnie, fabryki, które, omonopolizowanemi będąc i dogładanemi, Grecji większą niż Bułgarji korzyść przynosiły, bo napędzały do skarbu pieniądze i pogrążyły Bułgarów w namiętności gonienia za materjalnym zyskiem, tem bardziej, im mocniej Grecja ciągnęła z nich dla siebie korzyść. Było to więc dzielenie się łupami ojczyzny, a dzieleniem się nieproporcjonalnem: w mniejszej części na Bułgarów, w większej na Grecję przypadającym.

— Potrzeba nam uprawiać narodowość... — odzywał się często Sursuwuła.

Wyraźnie „narodowość“ odnosiło się do języka, historii, pamiątek i zwyczajów, które przeradzały się w antynarodowość, dla tego, że nie dawały się do obecnej zastosować chwili. Czas bieżał naprzód, a Bułgarja, uprawianiem swojej narodowości, pojętej w sensie Sursuwuły, cofałaby się wstecz, do epoki, z której czerpała pamiątki, a w której, w pamiątkowym znaczeniu, wszystko było zarówno dobrem: tak to co uświetniało, jak to co hydziło ojczyznę. Ale, co było najgorszem, to to, że tego rodzaju u p r a w i a n i e n a r o d o w o ś c i, rzeczy podrzędne, drugostopniowe na miejscu głównych stawilo, wytrącając z uwagi najgłówniejszą. Bo z urzeczywistnieniem bytu, tej najgłówniejszej kwestji, kwestja narodowości językowej, historycznej, pamiątkowej i zwyczajowej, sama przez się i najlepiej się rozwiązywała. Ale kwestja narodowości wysuniętą bądź naprzód, sama postawiona na przewodniem stanowisku, chromiała, kurczyła się pod naciskiem, zadyszała się i iść nie mogła. Trzeba ją było szturhańcami posuwać i ofiarami podtrzymywać. A szturhańce mogły być donośne. Dobrochętność i dobrowolność, przewodniczące tego rodzaju ofiarom, nie mając przykła-

dów z góry płynących, nie mając poparcia w otwartem ku wyraźnym, narodowym celom dążeniu, nie miały dostatecznej podniety. Niejeden wolał płacić okupne na pozyskanie sobie względów, na zapewnienie sobie ze strony Greków tego, co się nazywa „świętym spokojem“, jak nieść ofiary na uprawianie narodowości. Bo tamto było niezwłoczne, a to dawało się z jutra na jutro odkładać, i z powodu już tej samej możności odkładania, coraz bardziej traciło na powadze, na znaczeniu, na wartości. Nie chciał rozumieć tego Sursuwula, że narodowości modlitwą, ani spekulacją, ani literaturą podtrzymać i podnieść nie można. Modlitwa, spekulacja i literatura są pomocniczymi jej atrybucjami, idącymi dopiero po bycie. Trzeba bowiem najprzód mieć ojczyznę, ażeby się módz za nią modlić; trzeba ją najprzód mieć, ażeby módz skutecznie uprawiać literacką niwę. Byt przedewszystkiem, a potem dopiero atrybucje onego. Jedna po drugiej narodowościowa atrybucja wywietrzeją powoli. Modlitwa, spekulacja i literatura, rozbiją się zawsze na koterje, następnie na osobistości, a wkońcu przejdą pod sztandary otce. Z narodu pozostanie trup, który, jeżeli się ruszy, to chy-

ba już tylko jak zdechła żaba, za przejściem po martwych jej członkach galvanicznego strumienia. Drgnie, ale nie ożyje.

Sursuwuła z powodu właśnie swego rozumu i doświadczenia, z powodu dysgracji i wzorowego postępowania, i z powodu swoich zasad, był jednym z najgłówniejszych promotorów uśmiercenia własnej ojczyzny. A tak był pewnym siebie, czyli raczej tak był w zasadach swoich upartym, że w nich tylko wyłącznie i jedynie widział zbawienie narodu, i gotów był całą potęgą swoich wpływów sprzeciwić się wszystkiemu, coby po za nie wychodziło.

— Cóż po za nie wychodziło?... i czemu Sursuwuła był w stanie sprzeciwić się?...

— Wychodziło: z jednej strony obchodzenie się Greków z Bułgarią, z drugiej — zamiary podobne tym, jakie miał Asan. Pierwszym zacy starzec nie mógł się oprzeć, chociażby uczynił to kosztem osobistego narażenia się, może nawet kosztem krwi własnej. Czego by on nie dał za to, gdyby który z Augustów dozwolił Bułgarji po bułgarsku się rozwijać... Tyle jednakże miał rozu-

mu i doświadczenia, iż wiedział, że to jest niemożliwem. Nie mówił wszakże o tem nikomu, żeby zapewne nie martwić ludzi, i poprzestawał na prostem, wewnętrznem uznaniu niemożliwości, dla której przeciwstawienie upatrywał w cichem, narodowem sprawowaniu się, i w przykładowem prowadzeniu się możliwych, mających wpływ i znaczenie. Z tego powodu on i Asan byli w takim stosunku do siebie, jak przeczenie i twierdzenie. I Sursuwuła mógł przeczyć. Mógł oprzeć się zamiarom Asana. Mógł je jednym słowem zniweczyć. W tym względzie potęga jego była niezaprzeczoną i nieograniczoną.

Sursuwuła i Asan żyli z sobą w najlepszej zgodzie i harmonji, a to z tego może powodu, że łącznikiem pomiędzy nimi była śliczna, jak najpoetyczniejszy ideał, i dobra, jak anioł, Marja.

Asan był z nią zaręczonym.

Jak te zaręczyny wypadły? .. z jakiego powodu?.. — Na te pytania nie umiem odpowiedzieć. Mogę tylko zaręczyć czytelnikom, że się zaręczeni serdecznie kochali. W tem kochaniu, jeżeli komu podoba się upatrywać powód zaręczyn, to mu przeczyć nie będę, jak również nie będę przeczyć temu, że podobno zachodził

pomiędzy Radomirem Sursuwułą a ojcem Piotra, Asana i Joanicy jakiś rodzaj umowy, skutkiem której córka pierwszego powinna była zostać żoną jednego ze synów drugiego. Nie wiem jednakże: czy w umowie wymienionem było, którego mianowicie?... Jeżeli nie było wymówionem, to prawdopodobnie bracia dali tę kwestję sercu Marji do rozstrzygnięcia. Jakby tam jednakże nie było, dość że Marja i Asan kochali się, i miłość ich, uwieńczona już aprobacją ojca panny młodej i formalnemi zaręczynami, jeszcze ostatecznie uwieńczyć się miała — ślubem.

Marja była młodą. Liczyła, może osiemnaście, najwięcej dziewiętnaście lat wieku. Znajdywała się więc w całej pełni dziewiczego rozwoju, jak kwiat w dobie zupełnego rozkwitu i zapachu. Kwitła też i pachła, jak najpiękniejszy z kwiatów, jak bałkańska róża, która, zdawało się, miała w sobie coś z nią pokrewnego. Była słuszną i poważną; a zarazem wiotka i smukła. Oczy miała czarne, brwi i rzęsy czarne, i warkocz czarne. Z jej oczu przeglądała jakaś głębia, w której na dnie siedziała myśl, na poły tajemnicza, na poły rzewna, i jakaś niby rozumna, i jakaś serdeczna. Łono jej wypełnione i

zaokrąglone najklasycyjnieszemi kształtami, oddychało rozkoszą, tą rozkoszą południa, co to pocałunkiem pali a uściskiem roztopia. W całej tej postaci nie było nic, co by dało się nazwać pospolitem. Zdawało się, że nie można było kochać, żeby nie uwielbiać, a poznawszy ją bliżej, odkrywało się w niej skarby coraz świeższe, coraz większe i coraz droższe.

Marja pod Asana okiem urosła i rozkwitła. Kiedy on był chłopcem wyrostkiem, to ją na rękę nosił. Ona rosła, on męźniał. Radomir, od najpierwszych chwil ich dzieciństwa, był dla nich jakby wspólnym ojcem i nauczycielem. Asan wiele od niego skorzystał pod względem onych zapatrywań, które stanowią niejako wytyczne punkta ogólnej wiedzy ludzkiej. Lecz nie przejął się jego zasadami. Dla czego? — Na to trudno odpowiedzieć. Może działały na niego jakie inne wpływy. Może dusza jego wcieliła się w ciało z gotowym, od Boga danym, zarodkiem prawdziwego patriotyzmu. Może natchnionym sposobem doszedł on do przekonania, że najwyższym dobrem człowieka na ziemi jest ojczyzna, a najważniejszym jego obowiązkiem: bezwarunkowe, bezwzględne poświęcenie się dla niej.

Przekonanie to podzielała i Marja. Nie będziemy zastanawiać się nad tem, jak ona do niego przyszła. Zaznaczymy tylko, że miłość jej i Asana była jakimś rodzajem spółki rodzinnej, w której udział brały trzy osoby: matka - Bulgarja, syn-Asan i córka-Marja. Syn kochał matkę po męsku, córka po niewieściemu, a jedno i drugie z gotowością wytoczenia dla niej krwi do ostatniej kropelki, spalenia się za nią na stosie. Marja tem mocniej kochała Asana, że on był dobrym Bulgarem; Asan kochał swoją Marję tem mocniej, że ona była dobrą Bulgarką. W ich rozmowach miłosne gruchania, owe niedorzeczności kochanków, zastępowała ojczyzna. Rozmowy dwojga tych młodych ludzi były nie wyczerpane, rozmaite, toczyły się i mieniły, jak szeroki Dunaj, jak Bałkany. jak piękności krainy ojczystej.

— Byle tylko była wolna, ta nasza Bulgarja ..—powtarzała Marja często.

— Musi być wolną... — odpowiadał Asan.

A w tonie jego „musi“ brzmiało coś tak pewnego i nieodwołalnego, jak Boży wyrok.

— Mój kochanku...—mówiła Marja.— Tyś mężczyzna... Ty słowo, zamiar, mo-

zesz poprzeć czynem. Jeżeli kiedy zerwiesz się do czynu, nie zapominaj o mnie.

Mówiła to głosem modlitewnym, biorąc w drobne swoje delikatne dłonie szeroką rękę kochanka, i przyciskając ją do piersi:

— Zrób ze mnie dla naszej świętej ofiarę sprawy...

Radość Marji była bez granic, gdy ujrzała Asana po powrocie jego z Konstantynopola. I śmiała się i płakała, a na powitania i zapytania nie umiała słów dobrać:

— Cóż?... jakże?... jakże?... cóż?... — powtarzała co chwila.

— W krótcie będziemy się bić... — szepnął jej Asan.

Marja złożyła dłonie i spojrzała do góry, i postać jej takim strzeliła wyrazem, jakby w nią na chwilę najszczytniejsza wcieliła się modlitwa, ta modlitwa, co to z dziewiczego serca ulatuje do nieba za pomyślność oręża walczących o ojczyznę braci. Z taką modlitwą żadna, o nic zrównać się nie może, bo służące jej za źródło uczucie, jest ze wszystkich najświętszem.

„Będziemy się bić,“ powiedział jej Asan i więcej nic. Ona domyśliła się, że

kochanek ma jakiś zamiar, lecz nie może go odkryć; więc o nic nie pytała, a tylko dodała:

— Nie zapominaj-że o mnie... Może i ja zdam się na co...

— Weź sztukę najdroższej purpurowej materji — rzekł do niej Asan — i wydziergaj na niej złotem ptaka. Niech ten ptak będzie orłem... Niech on trzyma w jednym szponie miecz, i drugim laurowy wianek. Niech ma dziób otwarty, jakby krzyczał: do bronii! i niech ma skrzydło rozwinięte, jakby leciał na bój... Ale pamiętaj, ażeby o twojem dzierzganju nikt nie wiedział, tylko nas dwoje... Jak ty skończysz swoją robotę, to ja skończę moją, i wówczas godzina czynu wybije...

Z pewnym rodzajem religijnej skruchy, wzięła się Marja do zadanej przez kochanka roboty. Nie szła ona jej szybko bo musiała się z nią ukrywać, co w takim ludnym jak Sursuwuły domu, było bardzo trudnem. Ukradkiem kupiła grubej, drogiej, jedwabnej materji; ukradkiem wyciągnęła ją na krosnach; ukradkiem złote nasnuła nici, i ukradkiem szyła, dzierzgała. zdobiła robotę swoją w bogate frenzle i kutasy. Orzeł pod jej drobnemi paluszkami powoli się wypełniał, nabierał niejako ży-

cia, rozwijał ogromne skrzydła, rozwierał dziób, marszczył brwi, strzepił czub i zaciskał szpony na rękojeści miecza i ujęciu laurowego wianka. Sztuka materji coraz wyraźniej przemieniała się w sztandar bojowy.

Równolegle z robotą Marji postępowała robota Asana. Jakąż ona była? — Czy Asan gromadził tajemnie bróń? — Może gdzie na ustroniu musztrował ludzi? — Nie. On gromadził kamienie i murował cerkiew, i nie tajemnie, ani na ustroniu, ale w samym środku stolicy.

— Jaki Asan zrobił się nabożny!... — powiadali ludzie.

— Jak mu posłużyła podróż do Konstantynopola!... — mówili Grecy. — Widzicie!... buduje cerkiew, znabożniał, ... z niepewnego i dwójkrotnego stał się wiernym Augusta poddanym, bo August sam jest wielce nabożnym...

Asan wszystkie takie i tym podobne gadania puszczał mimo uszu, i całkiem oddał się doglądaniu i przyspieszaniu budowy cerkwi. Sprowadził architektów, mularzy, cieśli, snycerzy, ślusarzy, kowali, płacił, przepłacał, sypał pieniądze robotnikom, i budował.

Nie spiesz się tak, to będzie taniej

kosztować... — mówił mu Piotr i Joanica — i budowla będzie trwalszą...

— Nie chodzi mi o to; aby taniej, ale o to, aby prędzej.. odpowiadał Asan. — Ślubowałem sobie, że cerkiew otworzoną będzie w dzień śtgo Dymitra...

A budowniczcy i rzemieślnicy, i robotnicy, i ludzie miejscy, i ci co ze wsi do miasta przychodzili, powiadali sobie w rodzaju przypuszczenia:

— Kto wie, ażali wielkie nabożeństwo Asana do śtgo Dymitra, nie sprowadzi męczennika cudotwórcy do nowej cerkwi...

Przypuszczenie to było bardzo logicznem, i ulegając wszelkich przypuszczeń losowi, zmieniło się z razu w powszechne pożądanie, a następnie w ogólną nadzieję, tem bardziej, że o świętym, po zniknięciu jego z Konstantynopola, ani słyhu, ani wieści nie było. Spodziewano się go w Tesalonice, rodzinnych podobno jego stronach, spodziewano się go to tu, to ówdzie, zapowiadano jakieś znaki, naznaczano nawet termina; lecz znaki nie doszły, termina minęły, nadzieja wszędzie zawiodła. Pokazał się kometa, — biegł szybko po niebie i sypał iskry. Ludzie w komecie natychmiast upatrzyli związek z zniknięciem śtgo Dymitra.

— Coś będzie... — Mówili z trwogą.

— To zapowiedź głodu... — twierdzili jedni.

— To wróżba moru... — utrzymywali drudzy.

To przepowiednia wojny.. — powiadał Asan. i było wielu takich, którzy mu potakiwali.

Tym zbiegiem wróżb i temi gadaniami umysły ludu nastrajały się powoli do wypadków, które jeszcze, w stanie zamiaru podobnego do położonej na nie naciągniętej cięciwie łuku strzały, spoczywały na dnie woli pojedynczego człowieka, woli silnej, stanowczej, oparte z jednej strony na zimnem, jak spekulacja, obrachowaniu, z drugiej na gorącym, jak świeża wulkaniczna lawa, uczuciu. Asan potrafił zharmonizować w sobie rozum i uczucie, i skupił je na jednym punkcie; a tym punktem był cel, który wytknął życiu swojemu; a tym celem była: ojczyzna. Kto wie, co on od dzieciństwa przemyślał, jaką długą i trudną drogę przeszedł duch jego, zanim powiedział sobie: „tak chcę i tak być musi!..“ zanim zdjął z siebie wszystkie skrupuły i względy, obawy i przesady, i rozebrawszy się z nich, niby z modnych ale ciasnych szat, stanął nagi i silny, jak gla-

djator, i jak gladjator mogący rzec do ojczyzny: Idący na śmierć pozdrawia cię...

Asan, pojedynczą swoją wołą, przygotował wypadki. Był jedynym czynnikiem tego co stać się miało. Czemże było to przeczucie, które głucho i niewyraźnie wstrząsało umysłem ludu i kazało mu wróżyć:

— Coś będzie?...

— Jest coś w naturze, co żywy udział w sprawach ludzkich bierze. My tego rozumem ująć nie możemy. Bo też rozum taki zawsze słaby i niedostateczny!... Powynajdowaliśmy nazwy i na nich poprzestajemy. Wymówiliśmy magnetyzm, elektryzm, galwanizm, somnambulizm, mesmerizm, i basta. Widocznie tylko znamy skutki, nie znamy przyczyn. Nocne wycia psów, gromadne latania ścierwożerczego ptastwa, znaki na ziemi, znaki w powietrzu, znaki na niebie, nazywamy prognostykami i litujemy się nad ludźmi, wiarę do nich przywiązującymi. A kto wie, czy duch natury nie jest z ludzkim ścisłym połączony związkiem!... Kto wie, czy znaki owe nie są głosem, wołającym na nas:

— Ludzie!... baczność!... coś będzie!...

Co się mnie tyczy, przyznam się, że i ja pod względem prognostyków, jestem

zupelnym niedowiarkiem, a to dla tego tylko, że ich sobie wytłumaczyć nie umiem. Ponieważ jednakże nie umiem wytłumaczyć, więc się z nich nie śmieję. Z widzenia i słyszenia znaną mi jest potęga rozumu, i wiem, że Stwórca udzielił go nam na przewodnika. Ale nie mniej zeprzeczyć nie mogę, że „w niebie i na ziemi są cuda, o których ani śniło się filozofom.“

Prognostyki nie zawiodły Bulgarów. Przed skończeniem jeszcze przez Asana cerkwi a przez Marję sztandaru, poczęły na lud spadać plagi.

W tym czasie objeżdżał August państwo swoje, i zatrzymawszy się w Sipselu, powołał do boku swego po kilka osób z kraju każdego. Wybór jego w Bulgarji, w skutek zapewne starań szambelana, padł pomiędzy innemi oprócz Sursuwuły na Piotra i Asana. Bohater więc nasz oderwał się od swojej cerkwi, i zostawiwszy dozór nad budowaniem Joanicy, którego na wszystkie świętości zobowiązał do pośpiechu, sam ruszył do Sipselu.

August bardzo łaskawie przyjął ich, każdemu powiedział coś pochlebnego, i każdy, odwdzięczając mu oświadczał urczyście, że jedynemi żądaniami jego spółziomków jest prośba do Najwyższego o szczęś-

cie i pomyślność łaskawego i rycerskiego pana.

Jakże moi wierni Bulgarzy, jakie są ich żądania? ... — zapytał czysto po słowiańsku, zwracając się do Piotra i Asana.

— Bulgarzy — odparł Asan, zabierając pospiesznie głos przed innemi i nisko się kłaniając — żądają, abyś wasza cezarowska mość wykonał względem nich sprawiedliwość, abyś uwolnił ich ziemię i dał im własne ich wojsko...

Izaak II spojrział najprzód ostro na lakonicznego mówcę, i zrobił taką minę jakby go chciał skarcić. Lecz się powstrzymał i, jakby nie dosłyszał lub nie zrozumiał słów jego, odwrócił się i przemówił do innych.

Giest Augusta nie uszedł baczności dworzan. Szambelan zbladł i zadrżał z przestachu, jak osikowy listek. Grecy, z których większa część nie rozumiała nawet o co chodziło, zwrócili na niego ogromne, zagniewane wzroki. Jedcu z tych ostatnich, Jan Sewastokrata, przechodząc mimo niego, potracił go łokciem. Bulgarzy, którzy wezwanymi byli wraz z Asanem, strwożyli się. Piotrowi nawet zrobiło się jakoś przykro. Po jednym tylko sursuwule poznać nie można było, jakie wrażenie spra-

wiło na nim niewczesne wyrwanie się przyszłego zięcia. Starzec, ani twarzą ani postacią nie zdradził tego co myśli. A gdy go się później pytano, wzruszył ramionami i odpowiedział:

Nigdy już więcej Asan nie będzie mówił z Augustem... Co się zaś Asana tyczy, to, gdyby mu się pilnie przypatrzone, możnaby było dostrzedz uśmiech, który ni-by jakiś daleki cień cienia, przesuwał mu się powoli po twarzy. Uśmiechem tym odpowiedział na groźne dworzan spojrzenie i na przerażenie wuja, lecz oni go nie dostrzegli.

Kronikarze inaczej nieco tę scenę opowiadają. Twierdzą oni, jakoby Piotr i Asan, sami, przez nikogo nie powoływani, przybyli do Sipselu i przedstawili Izaakowi Aniołowi dwa żądania: jedno, aby on mi dał kawałek ziemi w Bałkanach, drugie, aby służących w greckiej armji Bułgarów traktował na równi z Grekami. Utrzymują oni, że żądania te tak były zuchwałemi, że Jan Sewastokrata wyciął Asanowi poli zek. Policzek ów miał się stać według nich powodem wszystkich późniejszych następstw.

Dość jednakże odrobiny zdrowego rozsądku, aby oczyścić z fałszu kronikarskie

podania. Jakim tytułem Piotr i Asan, nie powołani, mogliby stawiać Augustowi żądania?... Jaki sens mogło mieć żądanie kawałka ziemi i dobrego traktowania Bulgarów żołnierzy? . . . Najważniwszem wszakże w tej sprawie jest pytanie: jakie bezpośrednio następstwo wynikło by z policzka, w obecności Augusta danego? — Oczywiście, że zuchwalca, który na policzek zasłużył, zamknięto-by, a ponieważ sąd i rozprawa w owych czasach prędko się odbywały, toby go za znieważenie majestatu Augusta na szubienicy przewietrzono. Musiał więc Asan z góry być zabezpieczonym przeciwko tego rodzaju wypadkowi, a to zabezpieczenie jedynie tylko w wezwaniu zawierać się mogło, i to w wezwaniu uroczystem, głośnem, któregooby, przewrotnie greków obejść nie była w stanie. Dobrze jakieś skrzydło osłaniało głowę naszego bohatera, kiedy on ją w całości odniósł do Tyrnawy.

Skrzydłem owym był interes Greków August miał się żenić z Konstancją, córką Belli III, króla węgierskiego, i na wesele potrzebował pieniędzy. Trudnem było to zadanie: z kąd dostać pieniędzy?... Pożyczek z amortyzacjami jeszcze podówczas nie znano, a podatki i monopole, w taki sposób dotknęły wszystkie źródła docho-

dów publicznych i tak ciężarem swoim przywalily mieszkańców, że nie było z kąd pociągnąć. Ani myśleć można było o powiększeniu podatków. A tu potrzeba była wielka, bez pieniędzy nie można się było żenić, nie podobna się było obejść. Co począć w takim przykrem położeniu... Nie darmo jednakże powiadają, że „potrzeba jest matką wynalazków.“ Ministerjum Izaaka Anioła tak sobie suszyło i łamało głowę, aż wpadło na myśl nałożenia kontrybucji w naturze, na woły, krowy, konie, owce, świnie, osły, kury, indyki etc. etc., które pod postacią dziesięciny miały być zabrane na rzecz skarbu Augusta i zamienione na gotówkę. Właścicielom dozwolonem było zamiast bydła rogatego i nierogatego i drobiu, składać wartość ónych w pieniądzech. Nie wiem, czy i zboże podciągnionem zostało pod ten u k o ś n y sposób podatkowania. Wątpię. Kronikarze nie wspominają o tem, i przy tem domyślać się można, że pod poprzednikami Izaaka II uległo już ono temu losowi.

Potrzeb jednakże skarbu nie zaspakajał sam kontrybucji wynalazek. Należało go było przeprowadzić. Na tem polu przedstawiały się pewne trudności i niebezpieczeństwa, które trzeba było obejść, albo

usunąć. Przedstawiała się rozpacz obdzieranego z krwawo zapracowanego dobytku ludu, i stawała jako wielki dla rządu ambaras. Mógł z niej wyniknąć tu i owdzie bunt. Było wszelkie prawdopodobieństwo, była nawet pewność możności poskromienia buntów, ale nie było najmniejszego sensu wywołać je. Więc trzeba było przedwstępnie przygotować ludność, z góry ją ugłaskać... Z tego powodu wypadało spolitykować z Asanem, puścić jego zuchwalstwo płazem i pozwolić mu donieść do ojczyztego grodu na karku głowę. Innej przyczyny ocalenia bohatera naszego, po otrzymaniu jakoby od Jana Sewastokraty policzka, nie można z kronik wyciągnąć.

Sursuwuła nie zmienił się bynajmniej względem przyszłego swego zięcia: Z doświadczenia wiedział on, że niełaska Augusta obrócić się może na dobre, a w głębi sumienia swego uznawał, że Asan, stawiając swoje żądanie, popełnił tylko błąd szczerości, gdyż po prawdzie nie było żadnego innego do postawienia. Czegoż było żądać?...

Asan jednakże jak wypróbował Augusta, tak chciał jeszcze i ojca Marji wypróbować. W kilka więc dni po wyjeździe z Sipselu, gdzie — powiedzmy nawiasem —

Bulgarzy nie mieli długo bawić, spytał tego ostatniego:

— Cóż się stanie z Bułgarią?...

Starzec, zamiast odpowiedzi, wzruszył ramionami.

— Tak jednakże pozostać nie może?...

Sursuwuła pomilczał, pomyślał, i po chwili rzekł:

— Mogą pomyślniejsze nadejść okoliczności... Może Najwyższy zlituje się nad naszą biedną ojczyzną i zeszle kombinację, z której i na nią jakieś dobro spłynie, Trzeba czekać cierpliwie... Cierpliwość bywa cnotą, tak w pojedynczym człowieku jak w narodzie..

— Jeżeli Bułgaria czekać będzie na okoliczności — odparł Asan — to okoliczności nie na jej korzyść, lecz przeciwko niej, się obróca: bo czekając, tymczasem coraz mocniej niedołęźnieć i podlić się będzie, i nie zasłuży na dobro... Trzeba okoliczności wywołać, stworzyć, trzeba nad nimi panować, a nie im się z góry poddawać...

— Cóż robić?... — zapytał Radomir.

— Wojnę wydać Grekom... — odparł Asan.

— Wojnę!... — zawołał starzec, zdumiony i przerażony, jakby niespodzianie

bosą nogą na węża nastąpił — kiedy?... z czem?... jak?...

Asan z zimną krwią i zupełnym spokojem odpowiedział:

— Natychmiast... chociażby gołemi pięściami... A jeżeli nie ufamy potędze naszych pięści, to wygrzebmy z grobów piszczele ojców naszych, niemi się uzbrójmy i z niemi stańmy do boju.. Tym sposobem wzbudzimy uszanowanie ku niej w okolicznościach, z których na nią dobro spłynąć może...

Sursuwuła długo nic nie odpowiadał. Spuścił głowę i milczał. I przerwał milczenie następującymi słowami, popartymi wyrazistym giestem i silnym wymówionemi tonem:

— Póki ja żyję, póty nie pozwolę na coś podobnego, na nieszczęście, na ofiarę!... A w szaleńcu, co by się na nie porwał, nie będę nawet własnego zięcia ani syna oszczędzał!...

Ściągało się to wyraźnie do Asana. Asan nic nie odrzekł.

X.

W Tyrnawie wyprzedzily Asana dwie rzeczy: rozporządzenie, nakładające weselną kontrybucję, i wieści o żądaniu jakiego bohater nasz Augustowi przedstawił.

Pierwsze treścią i formą podobnem było do wszelkich tego rodzaju rozporządzeń. Głosiło ono, że August w łaskawości swojej, chce dać sposobność wiernym swoim poddanym złożenia dowodu przywiązania do tronu, i w tym celu nakazuje zebrać w Bułgarii tyle wołów, krów, cieląt, świń, etc. etc., ile potrzeba na jaknajdokładniejszy dowód przywiązania. Nie ma to być podatek, ale dobrowolny datek, ofiara, z którą-by zapewne poddani sami, z własnej pospieszyli ochoty, gdyby znali tajemnice stanu. Jedną z tych tajemnic, bardzo ważną, August przed nimi odkrywa. Spoczywa ona w zaślubieniu córki króla węgierskiego, w związaniu bratnim węzłem dwóch państw, węzłem, z którego nieobliczone na naród korzyści spłyną. Domaganie się ofiary tej pochodzi z chęci przypuszczenia wszystkich swoich wiernych poddanych do uczty weselnej, pokazania

światu, że cesarstwo wschodnie jest jedną wielką rodziną, w której August ojcem, a wszyscy jego poddani dziećmi, razem się smucą w smutnych godzinach, ale w weselnych razem cieszą.

To umotywowanie kontrybucji popar-tem było komentarzami, nie dziennikarskimi, bo w owych czasach nie miały rządy na usługi swoje gazet, ale ustnemi. Utrzymywano np., że kontrybucja nie tylko żadnej szkody, ale przeciwnie, wielki przynie-sie pożytek.

— Bo dlaczego — mówiono — runo na owcy obficie co roku wyrasta?

— Dlatego — odpowiadano — że ją co roku strzygą... Gdyby jej bowiem nie strzyżono, toby sierść na niej w kołtuny się zbiła, zmarniała, i owca by sparszy-wiała...

Porównanie to zastosowano do ostatniej kontrybucji.

— August nie powinien na jednym razie poprzestać... powinien uczynić datek corocznym: przez to bowiem chów rogatego i nierogatego bydła i drobiu się podnie-sie, bo z jednej strony będzie się nim żywo interesować, a zatem zachęcać sama Grecja, z drugiej rolnicy będą się starali

go podnieść, aby i dla Grecji było i dla Bułgarji zostało...

Komentarzami tego rodzaju bawili się, datkiem ani podatkami nie dotknięci.

Drugie, to jest, żądanie Asana, wywarło na ogół bułgarski wpływ, nie bardzo rozporządzeniu Augusta przyjazny. Jaki taki z pomiędzy Bułgarów wpadł mimowolnie na domysł:

— Wszak Asan niczego innego, tylko bytu Bułgarji żądał...

A innemu przyszło do głowy:

— To taką rzeczą samoistność Bułgarji jest czemś takim, czego można żądać...

A innemu:

— Czego można żądać, to można otrzymać...

— Hm!.. — konkludowali Bułgarzy, i kiwali głowami, i szeptali pomiędzy sobą, to o żądaniu Asana, to o prognostykach, to o rozporządzeniach Augusta. Pojęcie zaś „bytu”, jak padaliczne ziarnko, pęcniało i poczyniało kielkować w ich umysłach. Pozostawało już tylko, aby zieloną trawką wystrzeliło na rolę. Lada co jednakże mogło mu jeszcze przeszkodzić, bo kielkujące ziarnko, to takie delikatne.

Asan jakby nie troszczył się pojęciem,

które sam zaszczepił. Rzucił je w Sipselu, niby słowo na wiatr, powrócił do Tyrnawy, i zdawało się, że w całym świecie była tylko jedna rzecz, która go zajmowała, a tą rzeczą była cerkiew. Nawet z Marją rzadko się widywał, a kiedy był z nią, to patrzył na nią z takim smutkiem i żalem, jakby ona już do niego nie należała, i mówił z nią mało, a dopytywał się często o sztandar:

— Kiedy będzie skończony?

Marja spieszyła się. Pracowała we dnie, nie sypiała nocami; a że w nocy mniej była wystawioną na ciekawość, to przyszło w końcu do tego, że dzień nocą zamieniła, i kładła się spać tylko na chwilkę nad rankiem, aby domownikom nie dać poszlaki pracy swojej. Aż żal brał patrzeć na nią, tak ją bezsenne noce znużyły, bo Asan naglił, bo dla niego wyraźnie sztandar ze złotym ptakiem stał się droższym jak zdrowie kochanki. Marja się nie skarżyła.

Budowa cerkwi się skończyła. Joani- ca dobrze bratu usłużył. Podczas jego nieobecności dopilnował roboty i bohaterowi naszemu, po powrocie z Sipselu, pozostawało tylko dopilnować ostatniego wykończenia.

Na parę tygodni przed dniem św. Dy-

mitra, Marja spotkała Asana temi wyrazy:
— Już skończony!..

I poprowadziła go do swojej dziewiczej komnaty, i tam rozwinęła materję, na której pysznie odbijał złoty orzeł. Miał dziób rozwarty i brwi zmarszczone i czub nastrzępiony, i skrzydła rozwinięte, i w szponach trzymał nagi miecz i laurowy wianek. Dokoła niego, na purpurowem tle, rozsiane były gdzie niegdzie gwiazdki, jakby on wśród gwiazd na krwawem leciał niebie. Brzegami sztandaru spływały sute frenzle.

Asan spojrział na sztandar, potem na Marję, i z oczu jego strzeliła najprzód radość, ale natychmiast zamieniła się wyrazem rzewnego jakiegoś smutku.

Marja rzuciła się mu na szyję, i głowę na jego piersi ukryła.

Asan ją przycisnął, usiadł, posadził ją obok siebie, wziął w obie dłonie drobne jej rączki, i patrzył na nią z wyrazem dziwnej na męzkim, surowem jego obliczu czułości.

Przez chwilę toczyła się pomiędzy niemi ta niema rozmowa, która się wzrokiem tłumaczy, a uderzeniami serca mierzy. Ktoby ich widział, nie potrzebowałby słyszeć wyrazów, aby przeświadczyć się,

że dwoje tych młodych ludzi „zakochani w sobie”.

Milczenie tej miłosnej rozmowy pierwsza Marja przerwała:

— Czyż mnie godną wydzierzgania tylko sztandaru osądziłeś?... — zapytała tonem łagodnej wymówki.

Asan na razie tylko westchnieniem odpowiedział. Lecz gdy kochanka powtórzyła zapytanie:

— Ja sądzę cię godną wielkiej, strasznej, jak całopalenie, ofiary — rzekł. — Ale ja się boję...

— Boisz się?!... — zawołała dziewczyna, wstając i odsuwając się od kochanka.

Twarcz jej zapalała. Oko się zaiskrzyło. Gładkie jej czoło ściągnęło się lekkimi bruzdami zmarszczków, które nieregularnymi złamaniami nasunęły nad oczy śliczne łuki jej brwi.

— Ty się... boisz?!...

— Boję się, bo wątpię... — tłumaczył się Asan, upokorzony tonem i postawą kochanki.

— Wątpisz?... o czym wątpisz?... — zapytała Marja.

— O powodzeniu, moja droga.. Może mnie spotkać zawód.. Mogę cię poświęcić... na próżno...

— A czy wątpisz o świętości naszej sprawy?... — rzekła dziewica, zmieniając ton mowy i wyraz twarzy na łagodny i jakiś błagalny, jakby obawiając się, aby kochanek nie rzekł: wątpię.

— Nie... — podchwycił Asan. — Ależ poświęcić ciebie, taką...

— Nie miej względu na nic, tylko na Ojczyznę.. — przerwała Maria. — I pomnij: im jestem lepszą, tem ofiara ze mnie więcej będzie miała wartości... Nie wiem, jaką ma być ta ofiara i nie pytam się o nią.. Przeczuję tylko, że blizką jest chwila, w której stracę ciebie na długo, może na zawsze.. Mówi mi to twoje obchodzenie się ze mną.. Ja rozumiem ciebie mój drogi, bo ja się wplotłam sercem w twoją duszę... co ty myślisz, to ja odczuwam... Chciałabym być z tobą za tobą;... ale słabą jest moja dłoń..

Tu podniosła jakby na pokaz, rączkę swoją i różowe paluszki, prawie przezroczyste, takie delikatne.

— Ale mocnem jest serce moje!.. — ciągnęła silniejszym głosem. — Jestem Bulgarką... Jeżeli ofiara ze mnie, choćby w najdrobniejszej części, choćby w najslabszem przypuszczeniu, przyda się Ojczyźnie, to nie wahaj się, nie wątp!... Każ

mi pójść na stos... pójde!... Każ mi skoczyć w ogień... skoczę!... Jeżeli tylko w święte imię Ojczyzny, to ofiara nie będzie, nie może być daremną..

Asan milczał. Marja przysiadła się do niego, wzięła go za rękę i zaglądając mu w oczy, pieśczośliwym mówiła tonem:

— Wszak sam tyle powtarzałeś mi razy, że nie masz dość wielkiej, ani niepotrzebnej dla Ojczyzny ofiary... Wszak tyle razy od ciebie słyszałam, że każda kropla krwi, w imię Ojczyzny na bułgarską spadająca ziemię, jest rosą niebieską, która na to zwilża narodową rolę, aby z niej owoce czynów i poświęceń wyrastały... Wszak i to ty mówiłeś, że ofiary czynią sprawę świętą, uszlachetniają ją i podnoszą. Miałżebyś w stanowczej chwili przeczyć sam sobie!.. Mój drogi!.. Mój miły!... Niech, jeżeli na nic lepszego się nie zdam, niech mnie przynajmniej kat utnie głowę, a kiedy ją weźmie za włosy, i ociekającą krwią pokaże ludowi, to lud pomyśli: ta głowa dziewczęca spadła za Ojczyznę, ta krew płynie za Ojczyznę... Ot, i ofiara ze mnie nie będzie daremną... W serca ludu wsieje ona ziarenko ofiarnej miłości Ojczyzny...

I długo jeszcze prosiła, długo się przy-

miląca do kochanka. Tulila się do niego, głaskała go po twarzy i w oczy mu zaglądała. On milczał, smutny, jakby złamany. Widocznie walczył sam z sobą. Kilkakrotnie odmykał już usta, chciał coś powiedzieć, i nic nie powiedział.

— Ja mam zamiar — rzekł w końcu cichym, zaledwie dającym się słyszeć głosem. — Nie wiem kto mi go podszeptał.. Straszny zamiar... Urodził się on, kiedym zmierzył całą głębię przepaści, w którą nasz lud duchem upadł, kiedym zważył całą trudność podniesienia go z niej, kiedym rozpatrzył wszystkie przeszkody, niedozwalające go dźwignąć... Trzeba przeszkody zniszczyć... Bez tego nie ma rady.. Ha!... niech się staniel...

Jakimś konwulsyjnym rzutem drgnęło jego ciało. Przycisnął kochankę do piersi, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Marjo... Ty pilnuj sztandaru... Ty go pierwsza rozwiniiesz... Kiedy? sama się tego domyślisz...

W parę dni po tej rozmowie, sztandar, dopełniony drzewcem, spoczywał w dziewiczej komorze, pilnowany, jak najdroższy jakiś skarb.

Asan kończył cerkiew. Dzień św. Dymitra się zbliżał i w miarę zbliżania się

onego, opadały rusztowania zewnątrz, i występowały ozdoby wewnątrz. W wigilję, stała już cerkiew zupełnie gotowa; wszystko dookoła niej i w niej na swoim znajdowało się miejscu, tylko jeszcze obrazy nie były pozawieszane. Spóźniono się jakoś z wbijaniem świeków. Asan sam osobiście przewodniczył robotom ostatniego przyłożenia ręki, i tak zarządził, że późnym dopiero wieczorem poczęto wbijać świeki na ikony, i bardzo późno robotę skończono. Byli przy tem Piotr i Joanica, ostatni serdecznie pomaga bratu.

— Teraz zawieszajmy ikony... — rzekł Piotr.

— A nie moglibyśmy odłożyć na jutro... — odpowiedział mu Asan.

— Co masz zjeść dziś, zjedz jutro, co masz zrobić jutro, zrób dziś... — odparł Piotr sentencjonalnym tonem i zabierał się do złożonych na środku, stosem, obrazów.

— Otóż, przysz dł mi kaprys, wbrew przysłowiu postąpić... — rzekł Asan pół-żartem, pół-serjo... — Rozwieszenie ikon nie zabierze nam dużo czasu, a po dniu pójdzie lepiej jak przy świecach...

— Ma rację... — poparł Joanica. — Po nocy możemy świętym poprzemieniać miejsca...

Joanicę poparł pop, który miał być parochem nowej cerkwi, i stało na tem, że nazajutrz równo ze świtem rozwieszają się ikony.

Robotnicy i bracia rozeszli się. Asan został z tyłu, niby dla zamknięcia cerkwi, i kiedy wszystkie światła były pogaszone, wszedł na chwilę i po chwili wyszedł. Wejście jego i wyjście nie przeciągnęło się i dziesięciu minut. Co ono znaczyło, to trudno odgadnąć, bo w cerkwi było ciemno. Może bohater nasz co zapomniał, tak jak nam często laskę, kalosze albo rękawiczki zapominać się zdarza.

Z cerkwi nie poszedł do swego pomieszkania, ale udał się ku pałacowi Sursuwuły. Przechodząc przez plac miejski, zatrzymał się, stanął, skrzyżował ręce na piersiach i wlepił wzrok w jedno z okien pałacowych. Z tego okna nie biło światło, tylko szyby odbłaskiem gwiazd połyskiwały.

— Biedne dziecko... — rzekł sam do siebie, po długiej chwili milczenia. — Śpi spokojnie i nie domyśla się, jakim będzie jutro...

I dodał:

— Gdyby ona nie była córką Sursuwuły!.. Gdyby Radomir nie miał takiego

w kraju znaczenia!... Gdyby było prawdopodobieństwo zdobycia jego przyzwolenia, albo przynajmniej milczenia!... Ale, nie!... On by wszystko w samym zaczątku wywrócił i zwichnął...

Wymówiwszy to, przeszedł plac, przeszedł most na jantrzańskim przytku, i wszedł pod górę, na drogę prowadzącą do pałacu. Doszedłszy do drzwi wchodowych, znalazł je zamknięte. Lecz dla niego w domu Radomira nie było drzwi zamkniętych. On posiadał klucz od tajemnej furtki, która dla zaufanych odmykała się o każdej dnia i nocy porze. Do dziś dnia bułgarskie pomieszkania zachowały owe tajemne wychody. Wszedł więc nie pukając ani dobywając się hałaśliwie, a zamknąwszy furtkę za sobą, skrzył na prawo, otworzył jedne drzwi od podwórza i dostał się do wieży, która przy głównem wznosiła się wejściu.

W wieży tej nikt nie mieszkał. Służyła ona wyłącznie do ozdoby, tak jak jej towarzysząca, która systematycznie po drugiej stronie bramy się wznosiła, połączona z pierwszą galerją, w kształcie elegancko rzuconego mostka zawieszoną nad wejściem. Jedna i druga zdobiły boczne pawilony, które otaczały dziedziniec pałacowy

i łączyły się z głównym korpusem budynku. Wnętrza ich nie były na pomieszkania przysposobione, przedstawiały bowiem nagie belki, powiązane po prostu i połączone z dołu do góry wążkami i starami drabinkami; po których, nadpróchniałymi i powyłamywanymi szczeblami od dawien dawna ludzie nie chodzili. Pod szczytem gnieździły się gołębie.

Asan posiadał klucz od wież. Jak on do niego przyszedł?.. na to trudno odpowiedzieć. Dostał go zapewne od odzwierne go, dla tego, że uważanym był jako członek rodziny, jako w blizkiej przyszłości właściciel pałacu Sursuwuły. Ważniejszym dla nas jest pytanie: co on w wieży robił?..

Było ciemno. Asan wykrzesał ognia, zaświecił krytą latarkę, którą z sobą przyniósł, i przy bladem jej światelku począł wdrapywać się na drabinki i oglądać belki. Tak obejrzał jedną wieżę; przez galerję dostał się do drugiej, i obejrzał drugą. Na belkach pozawieszane były łuczywa i długie z skręconej słomy powrósta. Słoma była napojona smołą. W niektórych miejscach stały baryłeczki z oliwą, przy-mocowane konopianami powrozami, których końce zwisały do ziemi i oliwą ociekały.

Asan je poprawiał, przesuwał, przysuwał do ścian i w taki sposób końce powróseł słomianych kombinował, aby wszystkie jedne z drugimi się łączyły. Co to mogło oznaczać? — Czytelnik domyślił się już zapewne, że były to palne materiały. Dodam więc tylko, że ilość ich, dobór i rozkład były takie, że jednej wystarczyło iskiy, aby w danej chwili obie wieże i pawilony w płomieniach stanęły, i przegradzając mieszkańcom pałacowym wszelki ratunek, pałac w kupę zgliczzy zamieniły.

Nie darmo więc powiedział Asan Marji, że ma „zamiar straszny”.

Obejrzawszy wieże, opuścił nasz bohater pałac i udał się do swego pomieszkania. Bracia jego i domownicy wszyscy spali. I on chciał usnąć. Rzucił się na łóżko, ale sen nie czepiał się jego powiek. Krew uderzała mu do głowy. Co pochylił głowę ku wezgowiu, to natychmiast musiał ją podnosić. Zrobiło się mu gorąco. Wyszedł na podwórze. Chłód jesiennej nocy przynosił mu ulgę. Chodził wzdłuż i wszerz i całemi piersiami pił zimne powietrze, i spoglądał ku gwiazdom, z których jedne iskrzyły się, drugie pełgały.

— Oh, wy, gwiazdy! — wołał w duchu. — Gdybyście wy zamienić się mogły

w pioruny i spaść na głowy wrogów Ojczyzny mojej!.. Gdyby z was zleciały archanielskie zastępy i sprowadziły sprawiedliwość pomiędzy narody!... Lecz nie... Gwiazdy milczą na niebie, archaniołowie śpiewają chwałę Najwyższego, a my, ziemi mieszkańce, ziemskie rzeczy ziemskimi musimy przeprowadzać środkami.. Mamy wrogów, z którymi własną ich musimy walczyć brenią:... podstępny podstępami, okrucieństwa okrucieństwami odpierać...

— Boże!... — rzekł po chwili głośno. — Jutro ja, o tej, prędzej jak o tej porze, stanę w obec Ciebie, jak oszust i okrutnik... Boże! karz mnie, ale przebaczonej Ojczyźnie mojej!.. Ona niewinna!.. Niechaj cała potęga gniewu Twego na moją, na moją tylko spadnie głowę..

Ukląkł i modlił się. Wstał i chodził. Aż zaświtało jutro.

W mieście poczęto ruszać się. Domownicy Asana p. czeli się budzić. Jeden z najpierwszych wstał Piotr.

— Już nie śpisz?... — zapytał, ujrawszy brata na podwórzu. — Niecierpliwość skończenia tego dzieła, tak wcześnie łożu cię wydarła...

Asan nic nie odpowiedział.

— Chodźmy do cerkwi... — rzekł Piotr.

— Po co? . — zapytał Asan z roz-
targnieniem.

— Wieszać ikony...

— Prawda!... — zawołał i puścił się
ku cerkwi.

Lecz w tym momencie raptem się na-
wrócił i rzekł:

— Potrzebuję pierwej orzeźwić się...
Obleję się zimną wodą... Ta noc mnie zmę-
czyła...

— Żle spałeś?...

— Spałem... nie źle... — odparł z wi-
docznym ambarasem — tylko mi się dziw-
ne roły sny...

I odszedł do wnętrza pomieszkania.
Piotr długo czekał na niego, a gdy się go
doczekał, to już całe miasto było rozbu-
dzone i wszyscy Tyrnawianie przygotowy-
wali się do uroczystości poświęcenia nowej
cerkwi, uroczystości, na którą ściągali się
ludzie i ze wsi, i z sąsiednich miasteczek,
i nie mało z tych ostatnich, z obawy spóź-
nienia się, zgromadziło się już przed cer-
kwią. Ludzie w owych czasach byli bar-
dzo pobożni.

Drzwi cerkiewne otworzyły się. Piotr,
Asan i Joanica i kilku robotników weszli
do wnętrza. Za nimi chciało wejść kilku
pobożnych przybyszów, lecz ich nie pusz-

czono. Drzwi się przymknęły. Pobożni skupili się i oczekiwali.

Raptem, jakby z nieba usłyszany, rozległ się wewnątrz cerkwi okrzyk:

— Święty Dymitr!...

Pobożni pchnęli słabo przymknięte drzwi, i runęli do środka.

I okrzyk mnożył się, podnosił, rozchodził. Wewnątrz i zewnątrz grzmiało:

— Święty Dymitr!...

Przybysze ze wsi i miasteczek, wleli się do cerkwi tłumem. Tyrnawscy mieszkańcy, przechodząc mimo, zatrzymywali się, wpadali do środka, wybiegali i roznosili po całym mieście:

— Święty Dymitr!...

Niespełna w godzinę cała Tyrnawa zgromadzona była około cerkwi. Każdy chciał widzieć męczennika-cudotwórcę, który sam jeden nad głównym wisiał ołtarzem. Nie płakał, chociaż na obliczu jego widne były ślady krwawych łez.

Tłum przybywał, mnożył się i tłoczył, unoszony, pchany naprzód nieopisaną jakąś radością.

Jedni głośno się modlili, drudzy płakali, inni się śmieli, inni wołali:

— Bóg zlitował się nad nami!... Ześłał nam cudotwórcę!... Opuścił Greków!...

Męczennik wybrał Bułgarję!... Będzie się nami opiekował!... Będzie z nami!...

Greccy kronikarze opowiadają, że Piotr i Asan, zbudowawszy cerkiew dla ś-ego Dymitra, zgromadzili i przekupili mnóstwo żebraków, którym kazali udawać opętanych i wołać pomiędzy ludem:

— Przyszła godzina zrzucenia greckiego jarzma!... S-ty męczennik Dymitr przyszedł do Bułgarów, aby im dopomógł!.. Potrzeba abyśmy, bez straty czasu, uderzyli na greckie cesarstwo, i wymordowali wszystkich Greków, jacy tylko w ręce nam wpadną!...*)

Ci opętani wywołać mieli w Tyrnawie powstanie.

Wiedzieć jednakże należy, że wszyscy greccy kronikarze, ilu ich było, od pierwszego do ostatniego, nieprzyjawnymi byli Bułgarom i opowiadali fakta z największą tych ostatnich niekorzyścią. Czego zaprzeczyć nie mogli, to ganili, lub w śmiesz-
nem przedstawiali świetle. Złością też nieprzyjawni i złośliwości zaprawioną jest ta ich powieść o opętanych. Jak opętani mogli wywołać powstanie?!...

— Któż je wywołał?... — zapytanie.

*) Patrz cytowane kilkakrotnie powyżej źródła.

— Sami Grecy...

Tyrnawa rządzona była przez urzędników greckich, i pilnowana przez grecki garnizon. Urzędnicy i garnizon, ze swego wychodząc stanowiska, ze stanowiska przestrzegaczy porządku w stolicy Bułgarji, nie mogli tolerować zbiegowiska ludu, tem mniej, że zbiegowisko to odbywało się w imię Ś. ego, który opuścił stolicę greckiego cesarstwa, i te wywołał w Tyrnawie okrzyki, które dawały się pod rubrykę buntowniczych podciągnąć. Przeniesienie się świętego z miejsca na miejsce trzeba było znieść, ale zbiegowiska i okrzyków żadną miarą. Ponieważ jednakże sprawa była ze świętym, przeto nie tak od razu przyszło się Grekom zdecydować. Naradzali się, dowiadawali, rekognoskowali, a że dzień jesienny krótki, więc na naradach, zwiadach i rekonesansach upłynęło im kilka godzin, i dobrze już było z południa, kiedy pierwszy mocny patrol począł próbować rozpedzić tłumy.

A tłumy stawały się coraz większe i gęstsze, bo radośna wieść wybiegła na przedmieścia i wsie, i ściągała lud gromadami. Patrol wcisnął się we środek, szeregi rozerwały się i wielu żołnierzy, zamiast bić Bułgarów dzidami po głowach, przeję-

ci ogólną skruchą, padali na kolana i śpiewali hymny świętemu. Setnik z resztkami zaledwie wydobył się z natłoku, i nie nie sprawiwszy, powrócił do cytadeli. Przechodem tylko swoim i odpędzaniem ludzi od cerkwi, zaszczerpił w umysłach pobożnych myśl: że Grecy nieprzyjaźnem okiem widzą przybycie cudotwórcy do stolicy Bułgarji.

Potrzeba było posłać drugi, silniejszy patrol; lecz i ten drugi z nielepszym powrócił skutkiem, i tylko mocniej potrafił umysły pojątrzyć.

Poszedł jeszcze i trzeci, a potem, już wieczorem, i czwarty, najsilniejszy, z pułkownikiem na czele i rozkazem zamknięcia cerkwi.

Ten ostatni wziął się do rzeczy energicznie. Osłonił się tarczami, najeżył dzidy do ataku i uderzył na tłumy. Tłumy jęknęły. Grecy żołnierze, ponawiając z kilku na raz ulic uderzenia, deptali już po rannych i trupach, mężczyznach, kobietach i dzieciach. Zrobiło się cicho, jakby kilkudziesięciu tysiącom ludzi zabrakło raptem tchu i głosu.

Z tej ciszy wyrodziłaby się była może [trwoga, a następnie ogólna ucieczka,

gdyby w tej chwili nie dało się wśród Bulgarów słyszeć wołanie:

— Grecy chcą zamknąć cerkiew i zabrać cudotwórcę!... Brońmy go!...

I tłumy, jakby na komendę, odwróciły się ku patrolom; ciężarem gęstwin swoich pchnęły się naprzód; naczelne ich szeregi, pchane przez tylne, nadziały się na dzidy greckie, lecz tylne przywalily żołnierzy ścieśnioną masą, zdeptały ich i zgmiotły. Po chwili dzidy, tarcze i miecze greckie, w bułgarskich błysnęły rękach. Lud poczuł zapach krwi, i grobowym ryknął głosem:

— Śmierć Grekom!...

— Śmierć Grekom!... -- zahuczało i rozniosło się po Tyrnawie, jak głos tej trąby archaniola, która ma skończenie świata zwiastować.

Powstanie się zaczęło. Wzięło się ono, jakby niewiedzieć z kąd: jakby z nieba spadło, lub z ziemi wyrosło. O zmroku, w dzień ś-go Dymitra wiadomem się stało powszechnie, że się Tyrnawa zbuntowała. Domy się zamykały; tchórze, kobiety i dzieci się kryły. Grecy, żołnierze, urzędnicy i handlarze, szukali schronienia w cytadelach. Na ulicach i placach pozostały rozjątrzone i rozwściekłe tłumy, które już oddziały.

mi plądrowały po biurach rządowych, wyracając rozrzucając i niszcząc wszystko, co nieprzyjacielskie, i napełniając miasto okrzykami boju i zemsty. W cytadelach Grecy na prędce przygotowywali się do obrony i do odwetu nazajutrz.

Obrona, a następnie odwet, były prawie pewne. Długa noc jesienna, wystudziła by w bezbronnych zapał. Nazajutrz z pewnością nie byłoby już komu atakować cytadel, ani stawić czoło patrolom, bo już nawet i w tej chwili, po pierwszym niespodzianem powodzeniu, nie można nawołać było tłumów na drogi, do obronnych gniazd; zwycięstwo nie było zwycięstwem, ani powstanie powstaniem. A zdobyć je, im później, tem stawało się trudniej: bo pierwszy popłoch w nieprzyjacielu ustawał, bo do uzupełnienia obrony więcej mu czasu pozostawało. Trzeba było korzystać z chwili i iść naprzód. Napróżno jednakże grzmiały i powtarzały się okrzyki:

— Na Greków!... Na Greków!...

Bulgarzy plądrowali greckie domy, sklepy i biura, ale na cytadelę nie szli. Trzeba było ich porwać jakąś nową a silną podniętą i poprowadzić.

Porwać i poprowadzić!... To łatwo powiedzieć, ale trudno wykonać... Kto mógł

to wykonać? — Jeden Radomir Sursuwuła Starzec, gdyby z krużganku swego pałacu ukazał palcem na cytadelę i rozkazał: pójście i weźcie! Bulgarzy poszliby i wzięli.

To też dla tego, w najbardziej stanowczej chwili, kiedy zapal powstańców wznosił się do najwyższego stopnia, a nie mógł wznieść się aż do odwagi rzucenia się na cytadelę, i zagrażał już przełomem na stronę stopniowego ostudzenia się, przed Sursuwułą stanął Asan. Był cały zbryzgany krwią i okryty kurzem. Odzież na nim była potargana, ręce i ciało podarte bliznami.

Sursuwuła otoczony przyjaciółmi i dworzaczami, siedział w środkowej komnacie pałacu. Przy nim stała Marja i kilka kobiet. Mężczyźni, wszyscy poważni i nie młodzi ludzie, dzielający opinie i zasady Radomira, byli zafrasowani. Na twarzach kobiet wryta była trwoga. Jedna Marja nie strwożyła się; ale za to z niepokojem, to na drzwi, to przez okno spoglądała. Przez okno bowiem widziała powstanie, które dawno przeczuwała, przeze drzwi spodziewała się wejścia kochanka, który w przeczuciach jej przewodnią grał rolę. Ucieszyła się więc i aż krzyknęła, gdy ujrziała Asana.

Lecz on na nią ani zważał. Podszedł wprost do starca, i zatrzymując się przed nim:

— Radimirze Sursuwuło,...—rzekł. — To co widzisz z okien twego pałacu, jest powstanie bułgarskiego narodu.... Stań na jego czele, i prowadź go na Greków!... Jeżeli zechcesz, to jutro albo stolica Bułgarii jest wolną, albo jej place pokryją się szubienicami, na których Grecy buntowników będą wieszali!...

— A najsamprzód powieszają ciebie!.. Ja sam cię wydam! Szaleńcze!...—zawołał starzec, marszcząc groźnie czoło i pokazując na Asana palcem. — Ta krew, co się z ciebie dymi, spadnie na twoją duszę, bo to krew nie tylko grecka, ale i biednych, uwiedzionych przez ciebie braci twoich!..

— Radimirze!.. — powtórzył Asan, zbladłszy jak ściana, i ze złożonemi modlitewnie rękami, padając na kolana. Stań na czele!... zlituj się... nad sobą samym!..

— Nad sobą samym?!... — pochwycił starzec zdziwionym i zarazem oburzonym tonem. — Cóż to za zakłęcie!..

I dodał, kiwając głową z wyrazem politowania:

— Szaleńcze!... głupcze!.. Nawołałeś nieszczęście i nie umiesz sobie dać rady!..

Stanę wśród narodu, i każę mu rozejść się spokojnie do domów...

Asan, za ledwie te wyrazy usłyszał, zerwał się, — powstał chwilkę, podniósł do góry zaciśnioną pięść, — chciał coś mówić, lecz tylko głucho, z głębi piersi jęknął, jak gdyby z tem jęknieniem serce mu pękło i wnętrzności się zerwały, — i pędem wybiegł z komnaty. Marja krzyknęła za nim i zemdląła, ale on krzyku jej nie słyszał, zemdlenia nie widział. Wybiegł, i po chwili widać go było jak biegł i przeciskał się przez tłumy, jakby uciekając od czegoś, co ścigało.

— Pali się!... — zawołano na placu.

— Pali się!... — powtórzyło tysiące głosów.

Na placach i ulicach miejskich zajaśniało, jakby raptem słońce zeszło — pałac Sursuwuły stanął w płomieniach.

— Na ratunek!... na ratunek!... — zaczęto wołać.

Lud pogarnął się ku pałacowi. Tłumy nappełniły plac i dopierały do potoku, który pieniać się i szumiąc, płynął u stóp skalnego urwiska, na którem wznosił się pałac, i przez most darły się do góry.

Od strony placu ratunek był niepodobnym, tam przystęp tamowały pawilony,

które od razu jednym płomiennym stanęły wałem.

Lud z niemą zgrozą spoglądał na gorejący budynek, strzelający wieżami ognia, słupami dymu i kłębami iskier, i ze współudziałem rozpaczony, patrzył na rozpacz tych, którzy cisnąc się do okien i na krużganki, ratowali tylko kilka chwilek życia. Mężczyźni i kobiety załamywali ręce i wyciągali je do ludu. Po ich oświeconych łuną pożaru twarzach widać było, że wzywali, błagali pomocy! Widać było, że wołali, krzyczeli, ale słów niepodobna było usłyszeć. Głuszył je trzask pożogi u góry, szum potoku u dołu, i jęk ofiar na spalenie żywcem skazanych. Lud wyciągał do nich ramiona, ale napróżno. Ratunku nie było. Kilku ludzi odważyło się skoczyć. Skoczyli i rozbili się o kamienie, a potok porwał i uniósł natychmiast ich członki.

Na głównym krużganku ukazał się Sursuwuła. Lud go poznał. Płomienie, które już ochwytywały główny korpus budynku, oświecały wyraźnie postać starca. Lud stęknął, ujrzawszy go. On był spokojny. Stał, oparł się obiema rękami o balustradę i czekał na śmierć. Widać było wyraźnie jego twarz poważną, jego włosy siwe. Pożoga wzmagająca się, rosła, ogień darł się coraz wyżej i wyżej, wysyłając

pod niebo wichrem kłębiące się iskry, i oświecając całą Tyrnawę. Blask padał aż na przeciwległe góry, na których bieląły dwa ząbczaste zamki, a z poza zębów świeciły grotty dzid strażnicy i wychylały się wierzchołki katapult i baltist, i połyskiwały hełmy przebiegających tu i owdzie naczelników. Przy pożarze Radomirowego pałacu Grecy przygotowywali się do obrony.

Po niejakiś czasie, z drzwi, które były za starcem, wysunęła się naprzód czerwona płachta, a za płachtą wyszła dziewczyna. Lud ją poznał. Była to Marja. Trzymała w ręku sztandar, który nad sobą i ojcem rozwinęła. Połyskiwał on lecącym orłem i gwiazdami, i pochyliwszy się kilka razy w jedną i drugą stronę, podskoczył w powietrze, zwinął się, zawahał przez chwilę i padł na brzegu potoku. Lud wlepił w sztandar oczy, śledząc wszystkich jego ruchów. Był on niby ostatnią pamiątką, jaką mu Sursuwulanka przed śmiercią cisnęła. Widział wyraźnie orła z mieczem i gwiazdy, niby symbol boju i sławy, i — zwyczajnie jak lud — odwrócił na chwilę uwagę od ofiar, a zajął się sztandarem, który natychmiast podniesiony, wzniósł się i wionął nad tłumem, podawany z rąk do rąk, dostał się wkrótce do środka ciżby

Na środku się zatrzymał. Ujęła go bowiem jakaś dłoń, która go już innym podać nie chciała.

Przez czas zajęcia się sztandarem, pożar wielkie uczynił postępy. Pałac zprzeoczył i chwiał się. Belki spadały z urwiska i łamiąc się po skałach i trzęsąc iskrami, gasły, sycząc kawałkami w potoku.

Lud podniósł oczy do góry. Na krużganku zawsze jeszcze widne były dwie postacie: starca i dziewicy—Radomira i Marji. Nie stały już, ale klęczały i modliły się. W tłumach ludu rozlegać się pczęło głuche, bolesne jęczenie, i wydierał się z piersi chóralny głos rozpacz: Oczy wszystkich przykute były do tego starca, poważanego i kochanego, i do tej dziewicy, która była najpiękniejszym i najwonnejszym w całej Bułgarji kwiatem, i widziały, jak starzec wyciągał rękę i przeżegnał lud wielkim krzyżem, jakby mu ostatnie posyłał błogosławieństwo, jak dziewica wyciągnęła rękę, i pokazywała na greckie fortece.

— Grecy ogień podłożyli!... — przebiegło po tłumie.

W tej chwili krużganek runął. Iskry bchnęły. Zręby pałacowe zatrzeszczały. Z pod spodu wystrzelił płomień i jednym stózkowym słupem, jak jarząca świeca,

zapalił się na górze. Radomir i Marja zniknęli.

W tej chwili tłum cały, jakby miał jedną tylko pierś, a ta pierś jedną tylko strunę, a ta struna, jakby się raptem zerwała: w jęk wielki uderzył.

W tej także chwili zagrzmiął głos:

— Na Greków!... na Greków!..

I tysiackrotnie powtórzył, zlał się w chór jeden, w zapal jeden, w jedną wielką żądzę zemsty.

Tłum pogarnął się ku fortecom.

Wkrótce potem, z murów zamków greckich warknęły strzały, zaszamiały w powietrzu ciskane kamienie i ciężary, i powstał zgiełk bitwy.

Grecy bronili się z rozpaczą. Bułgarzy szturmowali z wściekłością. Rozpacz i wściekłość łamały się przez czas jakiś jak dwa olbrzymy, lecz w końcu ta ostatnia przemogła. Ile ona poniosła ofiar — tego zliczyć niepodobna. Jedną stronę wspierała sztuka, drugą liczba. Bułgarzy z kijami, wyłamanymi sztachelami, kłonicami i z gołymi pięściami darli się zapamiętale na mury i wlewali się do zamków jak lava, ginąc secinami na dzidach, pod mieczami, maczugami i toporami. Glinących zastępowali coraz nowi, aż zalali zamki i przy-

walali sobą obrońców. Grecy wyginęli co do nogi.

Nazajutrz o świcie, z murów greckich powiewał sztandar bulgarski. Złoty orzeł wśród gwiazd leciał w krwawem polu.

Nazajutrz Bulgarzy obwołali królem... Piotra, i walka o niepodległość ojczyzny rozpoczęła się.

Na tem urywam powieść o Asanie. Chciałem ją poprowadzić dalej, lecz nie mam czasu. Odsyłam więc czytelnika do kronik, z których ją zaczerpnąłem. Z nich dowie się on, że skończyła się ona zupełnem wyjarzmieniem Bulgarji, wyjarzmieniem, któremu, od początku walki aż do końca, przewodniczył Asan. Grecy nazywają go okrótnym, i dla tego zapewne nasadzili na niego zabójcę, który go zamordował, a którego August zaszczycił rzymskim patrycjatem i z księżniczką krwi ożenił. Walka ta trwała długo, przez całych dziesięć lat. Z początku powiodła się, po roku upadła, potem znów się wznowiła, i skończyła się dobrze. Bulgarja była niepodległa, aż do nadejścia Turków, to jest, do 1396 roku, i od tego czasu nie

odzyskała niepodległości, dla tego, że nie zdobyła się już na drugiego Asana.

Muszę jeszcze uczynić kilka wniosków.

A najprzód, że ten Asan mógł być postacią zbiorową, z kilku, może z kilkadziesiątu, może kilkunastu osób złożoną. Jednemu trudno było takie olbrzymie wykonać przedsięwzięcie. Czasy jednakże są dawne, źródła tak jednostronne i niepewne, że pojedynczego człowieka głowę wieńczącą sławą, która może do wielu należy.

Powtóre: sława ta wyda się może przyćmioną dwiema rzeczami; 1-mo przedstawieniem cudotwórcy i 2-do spaleniem żywcem Sursuwuły z córką, przyjaciółmi i dworzaczami.

Co do pierwszego. Cała niemoralność obejścia się z cudotwórcą spada na Greków, którzy systematycznym wszczepianiem w duszę bułgarskiego ludu niemoralności, ciągłym psuciem go i upodlaniem, uniemożliwili podniesienie go moralnymi środkami, do tego stopnia, że w tym ludzie jedno już tylko pozostało, to mianowicie, że on nie był greckim. Póki bowiem lud bułgarski nie wynarodowił się, nie utracił cech charakterowych wyodrębniających go od Greków, póty nie było co rozpaczać. Każdej

chwili można było znaleźć w jego sercu jakiegoś ś-go Dymitra, aby na Greków lud podniósł i na bój rzucił. Ś ty Dymitr nie był powodem: był tylko pretekstem. Takich pretekstów, drobnych jak pylek, a pomimo to w wielkie bogatych następstwa, pełno w historii.

Co do drugiego: Mnie się zdaje, że nie masz dość wielkiej ani dość drogiej ofiary. Asan poświęcił teścia i narzeczoną, ale zdobył greckie twierdze. Ja myślę, że gdyby Sursuwuła wiedział zgóry o następstwach, to, albo zmienił by swoje zasady i całą swoją potęgą poparł Bulgarów, albo gdyby się o zasadach przeświadczył, że one są silniejsze od jego poglą'ów, to sam by dobrowolnie w ogień skoczył. Sursuwułowie bowiem byli straszną plagą. Przez nich wsączał się jad, trujący żywotne soki narodu. Z nimi „prośby, płacze — nie pomogły”. Asanowi nie pozostawało nic innego, tylko ich spalić.

KONIEC.



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

765056

Biblioteka WSP Kielce



0122675